№ 47. Warszawa, dnia 12 (24) Listopada 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOS

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym roku 1884, **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Odwołując się w szczegółach do Prospektu oddzielnie wydanego, tu tylko donosimy, że w pierwszem półroczu udzielimy jako **Premium bezpłatne** wszystkim Prenumeratorom piękny **Oleodruk** za granicą przygotowany a mogący w oprawie stanowić ładną ozdobę każdego salonu.

O kosztach przesyłki Oleodruku i opakowania, niewielką wynoszących kwotę, później doniesiemy.

Warunki prenumeraty mieszczą się w każdym numerze pod tytułem.

NA PRZYJACIELA DZIECI

prenumerata wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

W pierwszym półroczu roku przyszłego 1884, wszyscy Prenumeratorowie otrzymają jako **Premium, piękny Oleodruk bez żadnej dodatkowej opłaty**, jedynie za zwrotem niewielkich kosztów opakowania i przesyłki pocztowej.

Szczegóły co do samego Pisma mieszczą się w Prospekcie oddzielnie wydanym.

WIELKIE KŁAMSTWO.

W mowie potocznej i w druku coraz to bardziej ustala się podział wszystkich naszych pism peryodycznych, w Warszawie wychodzących, na dwa obozy: zachowawczy albo konserwatywny i postępowy czyli liberalny. Wyróżnienie to powoli bywa przyswajane nawet przez same pisma, przez przeciwników do obozu zachowawczego zaliczane, tak że nieraz czytamy w jakiejś gazecie o pismach „postępowych".

Otóż to wyróżnienie jest wielkim fałszem, którego utrwalenie po części może należy przypisać naśladowaniu innych krajów, gdzie podobny podział istnieje, jako uprawniony i mający racyą bytu. U nas zaś to wyróżnienie wprowadzili ci właśnie, którym ono pochlebia, ci, którzy wzięli na siebie maskę postępu, ochrzcili siebie i swoje nieliczne (dwa) organa mianem „postępowych", ażeby wmówić w ogół społeczeństwa, że przeciwnicy ich walczą z zasadą postępową, są wrogami postępu, a więc zwolennikami ciemnoty i wstecznictwa. Tymczasem owe hasła malkontentów nie są bynajmniej wyłącznemi hasłami postępu, większość zaś prasy naszej, przyjmując owo wyróżnienie, wpada niejako dobrowolnie w zastawioną na siebie pułapkę, gdyż przyznając przeciwnikom miano liberalnych i postępowych, a siebie mianując zachowawcami lub konserwatystami, tem samem przyznają się, że są nieprzyjaciołmi postępu. Jakoż jeden z owego młodego obozu, „Przegląd Tygodniowy", korzystając z owoców swej machiawelskiej i sofistycznej taktyki, owego wyróżnienia konserwatyzmu od postępu, schwytawszy w te sidła przeciwników, głośno i wielokrotnie wytyka im, że są nieprzyjaciołmi *postępu* i wzywa, aby swe zarzuty przeciwko *postępowi* sformułowali. Zamiast argumentów, w których „Przegląd Tygodniowy" nigdy nie był mocnym, a najmniej od czasu, gdy najlepsza jego „głowa" założyła sobie odrębną swoją „Prawdę" zamiast argumentów starczy ciągle wołanie na przeciwników: „wy jesteście wrogami, my zaś przyjaciołmi postępu, wszak sami to przyznajecie."

Oto np. w N-rze 12 „Przeglądu Tygodniowego" z r. b. czytamy: „prasie naszej *konserwatywnej* sprzykrzył się już *postęp*", a w N-rze 14 tegoż pisma (artykuł „Gorączka wodnomózgowa") czytamy co następuje:

„Każda okoliczność podaje *prawowiernym* (? tu już nowe miano dla przeciwników, z odcieniem wyznaniowym) oręż do ręki i to oręż *przeciwko postępowi*. Definiujcież więc, moi panowie, postęp, rozbierzcie dokładnie jego cechy, wykażcie dokąd jesteście postępowi (do jakiego stopnia?), a dokąd nie, przedstawcie w których punktach postępu leży niebezpieczeństwo dla charakteru naszego" i t. d.

Nie podnosimy wprawdzie w zupełności rzuconej w tych słowach rękawicy, gdyż zawiele wymagałoby to miejsca i czasu.

W podobnego rodzaju dyskusyach z „Przeglądem Tygodniowym" i jego obozem szanse nie-

zawsze bywają równe, gdyż nam częstokroć niepodobna rozszerzać się o wielu rzeczach, wówczas gdy im podobnem jest wszystko. Położenie więc rzeczy nierówne. A idźmy dalej.

Z niewielką ścisłością logiki i wysłowienia, tenże „Przegląd Tygodniowy” tak określa postępowy kierunek: „postępowym należy nazwać ten *kierunek*, który jest *organem* pracy dla ogółu korzystniejszej i produkcyjniejszej.” Zapewne zamiast *kierunek* powinno tu być *pismo*, gdyż *kierunek* nie może być *organem*.

Mniejsza zresztą o to, w każdym razie *postęp* należy do pojęć, których określenie jest nietrudne, postęp oznacza *polepszenie*, *posunięcie się*, *dalsze kroki* ku lepszemu, niejako zbliżenie się stopniowe do urojonego, a nigdy bodaj nie mającego urzeczywistnić się na ziemi ideału *wszechstronnej* doskonałości i pomyślności. W ciaśniejszych szrankach bywa postęp ekonomiczny, umysłowy i t. d. a zawsze jest to polepszenie, stan lepszy od dawnego.

A więc, czy podobna, aby ktokolwiek, czy to człowiek pojedyńczy, czy redakcya, czy wreszcie jakiekolwiek stronnictwo było przeciwnem postępowi, to jest nie chciało, ażeby było lepiej niż jest? Czy podobna żeby kto głośno mianował się nieprzyjacielem postępu lub na to miano się zgadzał? Życzyć dobrze społeczeństwu, śród którego się żyje, jest to życzyć dobrze samemu sobie, a chociaż są wszędzie tacy, którzy swój własny interes nad dobro ogólne przekładają, są obojętni na wszystko, byleby im samym dobrze się działo, a nawet znajdą się i tacy, którzy szkodzą społeczeństwu w obrachowanym z góry interesie osobistym; pomimo to jednak nie było nigdy i nigdzie całego stronnictwa, organu lub gazety, któreby jawnie głosiły, że są przeciwnikami postępu, to jest nie chcą, aby było lepiej.

Nie znaleźlibyśmy nic podobnego w żadnem nawet Eldorado, w żadnej Utopii, idealnie urządzonej, gdyż cechą natury ludzkiej — dowodem jej Bozkiego początku i przeznaczenia do doskonałości, jak prawią niektórzy — jest ciągłe pragnienie ulepszeń, ciągłe mniejsze lub większe niezadowolnienie.

U nas też, od czasu gdy istnieje prasa peryodyczna, nie było aż do niedawna podziału na prasę postępową i zachowawczą, lecz każdy bez wyjątku, kto tylko odzywał się w druku, głosił się przyjacielem postępu, chociaż co do dróg i środków osiągnięcia tego postępu mógł mieć swoje odrębne, może mylne przekonanie.

W tem też to właśnie rzecz cała — powiedzą przeciwnicy, że każdy krzyczy o postępie, ale w rzeczywistości wielu zaleca nie to, co prawdziwy postęp stanowi, owszem potępiają prawdziwe drogi i środki postępu i tem z całą słusznością zasługują na miano zachowawców, wsteczników, obskurantów i nieprzyjaciół postępu. Idzie więc o to, jak kto ów postęp rozumie.

Najwyraźniej uwydatnia się to i najłatwiej określić się daje w stronnictwach politycznych za granicą, gdyż każde z tych stronnictw ma pewne zasady, ma ściśle określony program, wiadome wszystkim dążenia, hasła i sztandary. Tak we Francyi jedni stoją przy monarchii, drudzy bronią republikańskiej formy rządu, a jedni drugich nazywają nieprzyjaciołmi postępu, zachowawcami starych urządzeń lub radykalistami, zbyt gorącymi zwolennikami nowości, chociaż jedni drugim dowieść nie potrafią, ażeby wszystko co stare było nic warte, a wszystko co nowe dobre lub odwrotnie. Żaden też organ, żadne stronnictwo nie przyznaje się do niesprzyjania postępowi, owszem, każdy głosi, że pragnie aby w jego kraju było lepiej, a więc pragnie postępu. Nawet w Anglii, gdzie dwa przeciwne stronnictwa skrystalizowały się od wieków pod imieniem torysów i wigów, nazwy zachowawców (konserwatystów) i postępowych, nadawane tym dwom obozom, są raczej tradycyjnemi, historycznemi nazwami niż ściśle malującemi rzecz określeniami, gdyż ani torysowie nie są ślepymi chwalcami obecnego stanu urządzeń angielskich, nie dopuszczającymi żadnej w niczem zmiany, ani wigowie nie są tak zapalonymi reformatorami, jakby to się zdawało, przeciwnie i torysowie w wielu wypadkach mogli i umieli okazać się wielkimi zwolennikami zmian i ulepszeń i wigowie nieraz okazują upartą zachowawczość.

Bywają więc ci i drudzy i zachowawcami i postępowymi, różniąc się pomiędzy sobą jedynie sposobem zapatrywania się na niektóre kwestye bieżące, a nawet w Anglii, przy poszanowaniu tradycyi i owoców wiekowego rozwoju historycznego, zachowawczość nie jest możliwą bez postępowości, a postępowość bez zachowawczości.

O czysty *konserwatyzm* można z wszelką słusznością posądzać tych tylko, którzyby wołali, że wszystko jest w zupełnym porządku, że niepotrzeba zmian żadnych, ani ulepszeń, że ten lub ów kraj lub społeczeństwo osiągnęło już błogi stan pomyślności złotego wieku.

Powyżej dotknięte znaczenie konserwatyzmu i postępowości, znaczenie polityczne, oczywiście nie może być zupełnie uwzględnione w niniejszym rozbiorze naszej postępowości.

Pozostaje więc znaczenie społeczne. Rola prasy naszej obecnie jest taka, że jedno pismo wypowiada w tej lub owej kwestyi społecznej lub ekonomicznej swoje zdanie i stara się przekonać czytelników, że oto tak lub owak byłoby lepiej, inne pismo wypowiada zdanie odmienne, dowodząc że poprzednie było w błędzie, gdy tak właśnie byłoby lepiej, a owak gorzej. Ludziska czytają jedno i drugie, kiwają głowami; jeden i drugi przyzna słuszność pismu A, inni — pismu B, jedni nazwą organ A postępowym, B zachowawczym czy zacofanym, A bowiem ciągle głośno trąbi o swej postępowości i... na tem koniec. Chodzi więc głównie o to, aby jak największą ilość czytelników przeciągnąć na stronę swego zdania, przypodobać się jak można większej ilości, no i nauczyć ich, gdyż za tem idzie wzrost, liczba czytelników i prenumeratorów. Piękną zapewne jest rzeczą szerzyć światło i obudzać zajęcie dla rozmaitych kwestyi, ale to zajęcie bywa i pozostaje, że tak powiem, platoniczne, gdyż w podejmowanych i omawianych kwestyach i sprawach, ani ci, którzy o nich piszą, ani ci, którzy to czytają, po większej części nic zdziałać nie są w stanie, ani zakładać szkół z opracowanym przez jedno szanowne pismo programem ani uskutecznić „emancypacyi kobiet” jak tego wymownie żąda inny organ postępowy, ani przyczynić się do rozwiązania „kwestyi semickiej”, ani znieść celibat księży, ani wprowadzić swobodę handlu i t. p.

Tu muszę dodać, że jak dla obozu konserwatystów czyli zachowawców istnieją jeszcze nazwy „prawowiernych” i „obskurantów” czyli zacofanych, tak dla obozu rzekomo postępowego w prasie naszej służą jeszcze nazwy „pozytywnych“ i „liberalnych“. Pierwsza z tych nazw — pozytywni, bardzo używana przed 10 — 15 laty, dziś jakoś wychodzi z mody. Miała ona oznaczać ludzi trzeźwych, chłodnych, rozsądnych, stojących na gruncie praktycznym rzeczywistości, jako przeciwieństwo do marzycieli, idealistów, bujających po niebie. W rzeczywistości jednak takiej różnicy w prasie naszej nie było nigdy, gdyż marzycielstwo i bujanie po niebie oddawna stało się u nas rzadką osobliwością, pozytywizm zaś warszawski polegał nie na praktyczności, lecz na krzykliwem głoszeniu niektórych, nieprzetrawionych i z drugiej lub trzeciej ręki wziętych socyalistycznych aforyzmów filozofa francuzkiego Augusta Comte, wespół z hypotezami Darwina o małpim rodowodzie człowieka. Co się zaś tyczy miana liberalnych, to u nas także po części nie na miejscu, po części zaś bynajmniej chlubnym predykatem być nie może, gdyż miano to z biegiem czasu zostało dziwnie wykoszlawione czyli raczej jego zastosowanie stało się spaczonem i przewrotnem, nawet w jego ojczyźnie, Europie zachodniej. Spaczenie zaś pojęcia liberalizmu, który początkowo rodem z Hiszpanii w czasie walk stronnictw za Ferdynanda VII, oznaczał kierunek szlachetny, postępowy, swobodny, aż nadto jest widocznem w dzisiejszych np. hasłach i postępowaniu „liberałów“ niemieckich. Wówczas bowiem, gdy dziś w Niemczech tylko „konserwatyści“ nie pragnąc cudzego, zgadzają się pozostawić sąsiadom ich własność, a różnoplemiennym swym spółobywatelom pozostawiają swobodę sumienia i rodowitego języka, „liberalizm“ ma w swym programie aneksyą i zabory, usprawiedliwia gwałtowne przerabianie Francuzów, Duńczyków i Słowian na Niemców, gwałtem przerabia nazwiska polskich dzieci na niemieckie, nakazuje modlić się i prawie myśléć Polakom po niemiecku. I to wszystko uchodzi w Niemczech za arcy-postępowe, za liberalne!

Jakież to więc dążności i przekonania społeczne cechują u nas tę część prasy, która mianuje się postępową? Oto przedewszystkiem godłem jej jest zasada: „wiedza to potęga” — zasada słuszna, a któżby ją zwalczał? Czy jakiekolwiek pismo wyrażało się kiedy z naganą o wiedzy, o nauce, jakąkolwiekby była? Wolno naganiać niedouczonych mędrków i reformatorów, wolno wątpić o hypotezach jak np. Darwina, ale każda nauka, każda gałęź wiedzy zasługuje na szacunek. Zbyt gorący i młodociani krzykacze młodej prasy usiłowali wmówić w ogół, że dawny kierunek prasy naszej i literatury, do dziś dnia będący kierunkiem ich przeciwników, był nieprzyjazny dla wiedzy i nauki — usiłowali usprawiedliwić miano „obskurantów”, które narzucali przeciwnikom. Nietylko więc zdawało się im jasnem jak słońce, że nieukami i obskurantami są wszyscy, którzy wątpią o nieomylności wywodów Darwina, Heckla i Comte'a, ale próbowali nawet wydrwić i przedstawić w świetle nieuctwa cały świetny okres naszej poezyi i literatury, znaleźli bowiem takich, którzy jęli dowodzić, że *romantyzm* było to hasło nieuctwa i głupoty, a przymykający do obozu pozytywnego pisarze niepozbawieni zdolności, jak pp. Krupiński, Chmielowski i Spasowicz, targnęli się nawet na pamięć czczonych w narodzie takich imion jak: Mickiewicz, Pol i Syrokomla, zarzucając tym wieszczom i poetom nieuctwo i nawoływanie do nieuctwa, do marzycielstwa (do którego należą wszelkie uczucia i nadzieje, wszelki zapał, religijność i t. p.), ze szkodą wiedzy i nauki! Smutny ten wybryk na poważne zbijanie wcale nie zasługuje: dość tylko zaznaczyć, że poezya, jeźli ma istnieć, nasza zaś stanowi największą chlubę i ozdobę naszą, nie może zajmować się logarytmami ani połączeniami gazów lub opiewać pokłady geo-

logiczne, lecz musi opierać się na uczuciu; dając przewagę uczuciu, nakazując „mieć serce i patrzéć w serce”, które znaczy więcej niż „mędrca szkiełko i oko”. Wypowiadający te słowa wieszcz, sam wysoko wykształcony, nie odwodził tém młodzież od książki i nauki, nie żądał zamykania szkół ani palenia na stosie wszelkich podręczników fizyki, chemii i t. d. jak to niemal usiłują wmówić w nas swemi sofistycznemi wywodami wymienieni trzej pisarze dążności pozytywnej (Ateneum 1877 artykuł F. K. o romantyzmie, Spasowicza odczyty o Syrokomli i o Polu, Chmielowskiego rozbiór Listów Odyńca w Ateneum 1879).

Mniemani postępowcy występują przeciwko uczuciu, pragną poddania uczuć pod władzę rozsądku; przeciwnicy zaś ich, zwani przez nich zachowawcami, żądają kształcenia w człowieku nietylko wiedzy, ale także uczuć i charakterów, a więc, w każdym razie, są przynajmniej wszechstronniejsi, a więc bardziej postępowi, skoro uczucie nie jest czczym, narzuconym wymysłem, lecz stanowi jedną stronę ducha ludzkiego. Dalej, samego owego ducha postępowcy mieszczą jużto w mózgu, jużto w nerwach, okazując w swych dowodzeniach zaciętość i fanatyzm prawdziwie materyalistyczne; niemateryaliści zaś przeciwnie są, zdaniem naszem, wyrozumialsi, skoro pozostawiając na stronie, jako niemożliwą do zbadania, kwestyą siedliska duszy, zajmują się wprost objawami tej istności czy też siły, jak chcą materyaliści. Następnie, pozytywni postępowcy za wiedzę uważają oczywiście tylko umiejętności przyrodnicze, ścisłe i praktyczne, nie szczędząc wycieczek przeciwko innym umiejętnościom, zwłaszcza przeciwko filozofii i nauce języków starożytnych. Przeciwnicy ich, tak zwani zachowawcy i obskuranci, nie płacą „postępowcom” równą monetą: szanują bowiem nauki ścisłe, umiejętności przyrodnicze i praktyczne, ale zarazem nie czują się w prawie nawoływać do zaniechania napoczętej przed wiekami pracy w innych gałęziach wiedzy, których samo istnienie i uprawianie z pokolenia w pokolenie we wszystkich epokach i u wszystkich narodów cywilizowanych jest faktycznym dowodem ich potrzeby, konieczności i zgodności z duchem ludzkości i wymaganiami postępu. I tu więc „zachowawcy” i „obskuranci” są bardziej postępowymi od przeciwników. Cóż jeszcze? Oto „postępowcy” gromią nietolerancyą i fanatyzm, nienawidzą Jezuitów, wytykają faryzeuszostwo i postępki złych księży, wreszcie przeciwników swych, jak widzieliśmy, nazywają „prawowiernymi”, a więc sami uważają się za heretyków, za niewierzących. Co do tego wszystkiego, to i prasa „zachowawcza” nie chwaliła nigdy ani stosów inkwizycyi, ani faryzeuszostwa, ani nadużyć złych księży. Wprawdzie, oprócz nietolerancyi i fanatyzmu religijnego, będącego nieodłącznem od działalności ludzkiej nadużyciem, istnieją jeszcze nietolerancya i fanatyzm niewiary i ateizmu, bynajmniej nie ustępujące poprzednim; wprawdzie o Jezuitach różne panują przekonania, ale to wszystko nie stanowi jeszcze rażących cech postępowości lub konserwatyzmu. Co się zaś tyczy osobistych przekonań religijnych redaktorów i spółpracowników jakiego pisma, to czy wierzą „prawowiernie”, czy zachowują posty, chodzą na mszę i do spowiedzi, to doprawdy czas już abyśmy byli na tyle dojrzałymi, żeby nie zwracać uwagi na te różnice i nie wytykać ich sobie po dziecinnemu, jak to czyni nieraz „Przegląd Tygodniowy”, wytykając, z niegodnym ludzi dojrzałych przekąsem, „pobożność“ i „modły“ swoim przeciwnikom — „Przeglądowi Katolickiemu” i „Kronice Rodzinnej“. W kwestyi przekonań religijnych może tu chodzić tylko o to, czy obóz „postępowy“ zalecałby obalenie katolicyzmu i chrześciaństwa, głoszenie ludowi, gdyby się dało, bezbożności i „moralnej swobody?“—Zdaje się, że nie, skoro same organa postępowe żądają np. aby księża byli wszyscy takimi, jakimi księża chrześciańscy być powinni. Nie masz więc i tutaj, a raczej być nie powinno, różnicy radykalnej pomiędzy obu kierunkami, gdyż i tak zwani „zachowawcy“ pragną, aby religia, kościół i duchowieństwo były coraz to w lepszym stanie i coraz to zbawienniejszy wpływ wywierały, a więc są przyjaciołmi postępu. Nakoniec wypada zaznaczyć, że prasa mieniąca się postępową prawi dużo o fabrykach, rzemiosłach, o przemyśle, o potrzebie pracy i rozwoju ekonomicznego; ale przecież żaden z organów „zachowawczych“ nie potępiał nigdy rzemiosł ani fabryk, nie odwodził od pracy i nie nawoływał do próżniactwa; przesądy zaś szlacheckie, stojące na zawadzie pracy uczciwej, dziś jednogłośnie przez wszystkich są potępione. I tu więc prasa „zachowawcza“ jest postępową.

Co się tyczy wytykania niemiłych osobistości, pesymizmu i zgryźliwości, ostrych przycinków i obelżywych wyrażeń odrębnego gatunku krytycyzmu, w tem, jak całemu ogółowi wiadomo, niewątpliwie należy przyznać pierwszeństwo prasie „młodej“ nad starą. Ale czy te cechy są „postępowe“ — to jeszcze kwestya.

Dotknąłem, zdaje mi się, wszystkich wybitniejszych różnic pomiędzy prasą młodą i starą i wykazałem, o ile się dało w krótkości, że pierwsza bynajmniej nie posiada przyznawanego sobie przez samą siebie wyłącznego prawa na miano postępowej, a druga bynajmniej nie może być nazywana konserwatywną, czyli zachowawczą. Owszem, ta tak zwana przez przeciwników prasa zachowawcza, jest w większej części postępową i usiłuje, o ile możności, działać a raczej *przemawiać* na korzyść i dla dobra społeczeństwa. Tak zwana zaś prasa młoda, samozwańczo-postępowa, dopóki nie wyrzeknie się przesadnych, w radykalnym kierunku, a świadczących o młodocianej niedojrzałości wybryków, dopóki nie zaniecha koteryjnej zgryźliwości, może zasługiwać jedynie na miano *wichrzycielskiej*, *warcholskiej* lub *łającej*. Ktoś w Tygodniku Illustrowanym nazwał niedawno tę część prasy *anarchiczną*, ale to jak mniemam, jest przecenianie jej znaczenia.

Ponieważ jednak chętnie przyznaję, że i młoda prasa jest czy też pragnie być istotnie postępową, że pragnie dobra dla społeczeństwa i życzy dobrze krajowi, pozostaje więc nam życzyć i oczekiwać, aby pomimo różnic w osobistych przekonaniach piszących, starły się i zagładziły zbyt ostre przeciwieństwa w poglądach obu obozów *na postęp* i żeby po dawnemu, była u nas wkrótce jedna tylko prasa, bez wyjątku postępowa.

Dotąd bowiem ów podział, rozkrzyczany przez młodych a przez starszych z milczącą pogardą przyjęty, mało przyniósł pożytku a wiele szkody i zgorszenia.

S.

ODWAŻNIE DZIEWCZĘ!

Z odwagą dziewczę idź w życia szranki,
Gdy cię do boju powoła,
Zawody — zwalczysz siłą Spartanki,
Ludzkość — dobrocią anioła!

Walka to ciężka, droga daleka...
Lecz mimo ciernie i głogi,
Odważnie dziewczę!... zwycięztwo czeka,
Gdy się nie wraca w pół drogi!

Jeśli pomimo twej wytrwałości,
Osłabnie w sercu otucha,
O! wówczas dziewczę szukaj w przeszłości,
Tam znajdziesz skarby dla ducha!

Strojna miłością i czcią u świata,
Wyższa nad trudy i ciosy,
Niechaj ci życie pieśnią ulata:
O czystych tonach w niebiosy!

A więc odważnie! idź w życia szranki,
Gdy cię do boju powoła,
Tam znajdziesz piękne miano kapłanki,
W uwitym wieńcu u czoła!

I silna duchem co wskrzesza wieki,
Śladem twych matek świętości,
Bądź żywym światłem w pochód daleki
Wiary... nadziei... miłości!...

Kazimierz Niemierowski.

MAGDALENA

POWIEŚĆ

Pani CARO.

Przełożona z francuzkiego na język polski

przez

P. LUDWIKĘ ROUHER.

(Dalszy ciąg.)

— Robercie! jakim sposobem jesteś tutaj! kto cię tu przysłał? Czy mój wuj?...

Wstrząsnął głową smutnie.

— Czy wydarzyło się jakie nieszczęście? — wołałam wstając blada jak trup. — Czy Ludwika?...

Głos zamarł na moich ustach.

— Bądź spokojna, żadne niebezpieczeństwo nie grozi wujowi i twojej kuzynce. Odjechałem, aby połączyć się z tobą, opuściłem na zawsze dom z którego wypędzono cię.

— To niepodobna! Oszukujesz mnie! Trzeba powrócić Robercie, koniecznie, natychmiast. Mój Boże, czy nie widzisz, że mnie zgubisz? Przysięgłam memu wujowi, że nigdy cię nie zobaczę, kto mógł ci powiedziéć...

— Ah! jak słabo kochasz! Magdaleno! Przyjeżdżam aby połączyć się z tobą a ty mówisz o rozdzieleniu.

— Ależ przysięgłam Robercie, przysięgłam umrzeć dla wszystkich i byłaby to łaska Boża gdybym umarła na prawdę. Wuj przeklnie mnie, jeżeli dowie się, że jesteś tutaj i Ludwika...

— Twój wuj sam złamał związki, które łączyły mnie z jego córką — odpowiedział Robert tonem ostrym i ucinkowym. — Nigdy już go nie zobaczę.

— Wielki Boże! a Ludwika?

— Ludwika!—powtórzył z lekkiem drżeniem.— Bóg mi świadkiem, że chciałem oszczędzić jej tego cierpienia. Dla niej starałem się przytłumić naszą miłość, ponieważ my się kochamy, wszak prawda Magdaleno, ale ojciec jej wypędził cię haniebnie a mnie znieważył, nie narażę się więc już więcej na podobne nikczemne podejrzenia. Obelgi twego wuja uwolniły mnie od wszelkich obowiązków i u nóg twoich składam moją wolność.

Słuchałam osłupiona.

— Jakże bladą jesteś biedne dziecko — dodał patrząc na mnie z politowaniem i czułością.—Jakaż straszna zmiana w tak krótkim czasie. Pozwól abym ci się przypatrzył moja ukochana, abym ucałował schudzone twoje rączki, odtąd nie rozłączymy się już nigdy Magdaleno, czy rozumiesz mnie? Fatalizm, Bóg sam nawet połączył nas pomimo ludzi, pomimo nas samych, którzy jak szaleni uciekaliśmy od siebie.

— Ah, Robercie! nie mieszaj Boga z naszą smutną namiętnością. Co mówisz? Żyć na zawsze razem? To próżne marzenie! Czy nie wiesz, że moim obowiązkiem żyć i cierpieć samej, że twoje miejsce nie jest tutaj.

— Jakto? —zawołał — oboje niepoznani i spotwarzeni, odepchnięci od rodziny, wówczas kiedy samo przeznaczenie uporczywie łączy nas, czyż możemy być tak szaleni, aby uciekać od siebie? Czyż nie walczyliśmy już i nie cierpieli nad siły? Ah! Magdaleno! pozwól się kochać.

Siadł obok mnie i mieszając z opowiadaniem namiętne uniesienia miłości wtajemniczył mnie w dramat, który odbył się po moim odjeździe.

Powiedział, że wuj mój, chcąc wytłomaczyć dziwne moje zniknienie, wmówił w Ludwikę, że ja mając oddawna już umysł nieco osłabiony, uległam obłąkaniu i że pod wpływem tej słabości nie chciałam wrócić z Piotrem do domu. Zły stan mego zdrowia, dziwaczne i kapryśne usposobienie w ostatnich miesiącach, dawały pozór prawdy tej naprędce utworzonej historyi.

Dowiedziałam się, że mój wuj, słuchając plotek służących, badał ich kolejno i że Justyna zawiadomiła go o tajemniczej korespondencyi prowadzonej z Robertem, jeszcze przed jego małżeństwem. Przekonany zatem, że kochaliśmy się od tego czasu, oskarżył Roberta, mówiąc mu, że on poświęcił nas obie dla nikczemnego wyrachowania, bo w rzeczy samej ja byłam ubogą a Ludwika bogatą. Robert usłyszawszy tę śmiertelną obelgę pobladł, ale zadumny aby tłomaczyć się wyszedł pewnym krokiem i opuścił dom nie oglądając się nawet. W chwili kiedy przechodził próg spostrzegł Piotra i wywołał go, aby zapytać o miejsce mojej ucieczki. Dziwnem zrządzeniem losu Piotr zachował numer powozu, który wzięłam tegoż rana. W ten sposób, po kilku godzinach szukania Robert dowiedział się, którą koleją wyjechałam z Paryża. Rozwaga a może tajemne przeczucie pomogły mu domyśleć się, gdzie szukałam schronienia. W dwadzieścia cztery godzin po mnie, był już na drodze do Bretanii. We „Vannes” miał pewną trudność, aby dowiedzieć się, gdzie właściwie znajduje się „La Roche Yvon” a nawet nie mógł znaleźć przewodnika, ale śmiały a przytem ufający swojemu instynktowi na pół dzikiemu, rzucił się sam pomimo ciemności w labirynt nieznanych dróg i piasków, zmuszony przedzierać się przez gęste dzikie krzewy, to znów potykając się o granitowe skały. Był narażony w ten sposób tułać się aż do rana i zdawało mu się w końcu, że dolina ta nie miała żadnego wyjścia, kiedy naraz spostrzegł z dala słabe światło mojego okna. Skierował więc kroki ku tej stronie i znalazł się wkrótce naprzeciw mieszkania. Chociaż nie był pewnym, że ciemna ta masa, której nie widział dobrze w pośród nocy, było „La Roche Yvon”, postanowił jednak prosić o gościnność i doczekać się dnia. Zdecydował się zatem zapukać. Otworzyłam okno a on poznawszy mnie schwycił się za gęste gałęzie wina i w jednej chwili znalazł się przy mnie.

Długie jego opowiadanie przekonało mnie, że nieszczęśliwy mój wuj, swoim nierozsądnym gniewem wykopał między Ludwiką a jej mężem przepaść, którą obecnie byłoby bardzo trudno zapełnić.

Obrażona duma Roberta wspierała jego namiętność.

— Trzeba powrócić — rzekłam, ale trząsnął głową stanowczo.

— Moje życie jest złączone z twojem — odpowiedział — zostanę więc a jeżeli mnie odepchniesz ukryję się w sąsiednim lesie, w jakiej biednej chałupie, gdziekolwiek abym tylko mógł być blizko ciebie, widzieć cię choć z dala i od czasu do czasu powitać, jak to czynią spotykający się wieśniacy. Czy możesz pozbawiać mnie szczęścia, które udzielasz ubogim i obojętnym?

Powinnabym była oddalić go, nie słuchać go co mówił, zabronić przystępu do mego domu, ale sofizmat namiętności i osłabienie woli na w pół zwyciężonej, złączyły się, aby mnie zgubić.

— Potrafię zdecydować go, aby odjechał, myślałam, ale na to potrzeba trochę czasu, ja wyłącznie mogę sprawić ten cud i złamać jego dumę.

I w ten sposób uległam tajemniczemu życzeniu mego serca i zezwoliłam na nowe zobaczenie się z Robertem. Wskazałam mu odległe miejsce w lesie, gdzie obiecałam spotkać się z nim po południu dnia następnego.

Pierwszy brzask jutrzenki rozjaśnił horyzont, był czas rozstać się. Niejasne i przytłumione jeszcze szmery oznajmiły nam powrót czynnego życia w obszernej przestrzeni. Pianie ochrypłych kogutów dało się słyszeć we wszystkich folwarkach. Pożegnaliśmy się z pewnością, że za kilka godzin będziemy razem i Robert, wyskakując lekko oknem znikł prędko za gęstym płotem leszczyn i ostrokrzewów.

VII.

Przez kilka dni widywaliśmy się z całą swobodą. Nastąpiły dni pogodne a ciepłe powietrze pozwoliło nam czynić długie przechadzki. Wspinaliśmy się na wysokie pagórki ozdobione kwiatami tej wspaniałej barwy jesiennej złotawo purpurowej. Czasem siadaliśmy pod cieniem drzew na murawie, która zaczynała już żółknąć, opowiadaliśmy sobie wzajemnie nasze cierpienia i walki, lub też cofając w dalszą przeszłość zwierzaliśmy sobie nasze pierwsze marzenia, dziwiąc się jak były do siebie podobne. Godziny upływały szybko, wieczorem wracaliśmy powoli.

Dzięki pierwszym cieniom nocy, Robert ośmielał przybliżyć się do mego mieszkania i gonił mnie okiem dopokąd nie byłam w domu. Wtenczas tylko oddalał się, aby szukać noclegu w jakim odległym folwarku. Ja zaś zamykałam się, aby marzyć, czekając jutra, nie chciałam myśleć co będzie dalej. Wiedziałam, że Robert musiał odjechać, że powinnością moją było przyspieszyć jego odjazd. Codzień obiecywałam sobie uczynić odpowiednie przedstawienie i codzień odkładałam do następnego dnia. W chwili kiedy byliśmy razem traciłam odwagę, okropne ściśnienie serca zatrzymywało słowa na moich ustach i dzień upływał a ja nic nie mówiłam.

Nie mieliśmy żadnej wiadomości z Paryża, byliśmy jakby zupełnie sami na świecie i czasem zdawało mi się, że zapomniałam o dawnych cierpieniach, o groźnej przyszłości, pod wpływem zachwytu obecnej godziny. Pełne szacunku obejście Roberta, wzbudzało zaufanie uspokajając wyrzuty mego sumienia.

W ten sposób wychyliłam czarę zdradliwej trucizny i pod wpływem tego zachwycającego upojenia, którego nikt nie może doznać bez kary, dusza moja straciła na zawsze energią i niewinność. Zapał młodości, niepewność jutra, zły wpływ jaki wywiera samotność i miłość wszystko to zwiększało niebezpieczeństwo. Winszowałam sobie zwycięstwa nie postrzegając, że już byłam zwyciężoną. Nie czekałam długo na karę. Jeżeli jest nieszczęście godne litości, to bezwątpienia, dla dumnej duszy, poczucie własnego upadku. Pragnąc wznieść się wysoko, poświęcić się dla drugich, wzgardzić prostem i pospolitem przeznaczeniem, sądzić surowo słabości drugich, a potem zasłużyć samej na pogardę, co za straszna kara. Od tej chwili słońce stało się dla mnie nieznośnem, albowiem chciałabym była okryć siebie wiecznym cieniem. Nie śmiałam spojrzeć w oczy starej Maryi, poczciwe spojrzenie tej kobiety upokarzało mnie. Poznałam wówczas prawdziwe nieszczęście tego świata za które rumienimy się nie śmiejąc go wyznać. Dowiedziałam się, że nie ma strasznięjszego upokorzenia nad utratę osobistego szacunku.

Zdawało mi się, że Robert sam powinien był pogardzać mną, powtarzałam mu to często i wszystkie jego usilne starania, cały zapał jego uczucia nie wystarczały, aby mnie uspokoić. Kiedy byłam sama, wpadałam w najstraszniejszą rozpacz. Zdawało mi się prawie, że znienawidziłam Roberta. Życzyłam sobie umrzeć a obawiałam się śmierci.

Przedtem uważałam się za niezwyciężoną, nawet grożące mi niebezpieczeństwa zwiększały moją pychę i mężnie stawiałam im czoło nie przypuszczając ani na chwilę, że się mu nie oprę.

Wedle mego przekonania nie potrzebowałam zasięgać rady od nikogo, albowiem byłam najlepszym sędzią, dla siebie samej. Olbrzymia ta duma zginęła i przeszłam nagle w najstraszniejszą rozpacz.

Czułam się ubezwładnioną i bolesne przerażenie opanowało całą moją istotę. Chciałam wznieść myśl moją ku niebu ale Bóg ukazywał się przedemną jako surowy sędzia. Noce upływały na śmiertelnej bezsenności lub strasznych zmorach, rano budziłam się okryta zimnym potem, złamana fizycznie i moralnie aby na nowo rozpocząć straszną walkę z własnem sumieniem, osłabłam tak widocznie, że Robert przeraził się pomimo wszystkich moich usiłowań, aby ukryć stan mego zdrowia.

Nie mogłam już kierować się własną wolą, czasami otaczałam Roberta namiętną czułością a po chwili wszystko się zmieniało.

Zirytowana zarzucałam go wymówkami, lub odpychałam wpadając w nerwowy paroksyzm łez, nie mogłam zostać sama w moim pokoju albowiem natychmiast ogarniał mnie chorobliwy przestrach. Zdawało mi się, że kara Boża czekała na mnie w tem miejscu, życie stało się nieznośnem i błagałam Roberta, aby mnie powiózł z sobą gdzieindziej.

— Jedźmy daleko — mówiłam — gdzieś nad brzegi morza, widok jego wielkości i burz może powróci mi spokój.

Wyjechaliśmy więc dnia następnego, kiedy żegnałam się, ze starą Maryą, ucałowała mnie ze łzami w oczach.

— Dobrze pani robisz, wracając do Paryża — mówiła z naiwną prostotą. — Powietrze tutejsze nie jest dobre dla pani. Nie śmiałam powiedzieć ci tego, ale sądzę, że pozostawszy tu nie doczekałabyś zimy.

Opuściłam ją nie wyprowadzając z błędu, nie mówiąc, że pozostanę w Bretanii.

Zatrzymaliśmy się wraz z Robertem w małej wiosce zamieszkanej przez rybaków, gdzie poczciwi ludzie przyjęli nas chętnie.

W pierwszych dniach, zmiana miejsca i ciągła obecność Roberta sprawiły mi prawdziwą ulgę. Robert sprowadził książki, dzienniki, ołówki do rysunku, zmuszał mnie do czynności i w ten sposób zapomniałam nieco o smutnych moich myślach. Odbywaliśmy długie przechadzki, raz pieszo nad brzegiem morza i na górach, lub też kołysząc się w łodzi rybackiej na zielonej powierzchni morskiej.

Podczas jednej z naszych wycieczek wynaleźliśmy grotę wyżłobioną falami w skałach, do której udawaliśmy się codziennie. Czasami przypływało morze podczas kiedy goniliśmy wzrokiem szybki napływ fal, które rozbijały się hucznie przed wejściem do groty: niektóre z nich dopływały aż do stóp naszych.

Wtenczas byliśmy niewolnikami na kilka godzin, a to oddalenie od całego świata miało dla nas niewypowiedziany urok. Nie mogłam nasycić się widokiem morza, podziwiając ciągle tę niezmierzoną przestrzeń, której szum jakby echo bezustannej skargi kołysał cicho bolesne moje marzenia. Za słaba, aby wznieść się myślą aż do Boga, szukałam pośrednictwa w naturze i czułam pewną pociechę wylewając moje serce przed nią.

(D. c. n.)

DZIECIĘCE KOCHANIE.

OBRAZEK

przez

E. ZORYANA.

(Dokończenie.)

Byłem w stolicy i dowiedziałem się natychmiast, że moja pani, jak ją w mych myślach nazywałem, była także.

Co się we mnie wówczas działo, nie potrafię opisać. Czułem gwałtowne uderzenie serca, radość malowała mi się na twarzy, jak nigdy i o mało, że nie skakałem jak dziecko z radości.

Pobiegłem ją odwiedzieć.

Przyjęła mnie serdecznie i widocznie była uradowana mojem przybyciem. Musiała czytać mą radość w oczach i na twarzy, bo w słowach jej wypowiedzieć nie mogłem. Plątałem się coś zrazu i trudno mi było porządnie zebrać myśli.

Wypytywała mnie o życie moje po jej wyjeździe o najnowsze wypadki za granicą i o tysiączne rozmaite rzeczy. Opowiadałem chętnie, dużo i szczegółowo. W miarę tego ożywiałem się i odzyskiwałem swobodę.

W tej chwili byłem szczęśliwy.

Znowu zaczęły się dla mnie piękne dnie. Bywałem u niej często, coraz częściej. Wreszcie, kiedy dwa lub trzy dni nie pokazałem się, pytała mnie:

— Dlaczego pan nie przyszedłeś?

Tłomaczyłem się i następnego dnia przychodziłem znowu. Tak stałem się gościem codziennym, a jak mi wówczas było dobrze, mógłby tylko dzisiejszy smutek, żal za tymi ubiegłymi dniami powiedzieć.

Przylgnąłem tak do tej kobiety, że czułem, iż bez niej żyć bym prawie nie mógł. Nie zdawałem sobie wcale sprawy z uczucia, które mnie do niej wiązało, lecz czułem, że ono było silne, bardzo silne. Pragnąłem, aby tak pozostało długo, zawsze. Nie chciałem sam siebie pytać o imię tego przywiązania, bo choć ono było dotąd bezimienne, drogiem mi było. Nieraz w wieczornych, samotnych marzeniach nazywałem je szczęściem mojem.

Wkrótce stał się wypadek, który mi to uczucie nazwał, objaśnił i wzmocnił.

Byłem znowu u niej.

Rozmowa toczyła się to o tem, to o owem. Ona jak zwykle kierowała rozmową. W każde słowo umiała wlać tyle rozumu, tyle uczucia, że przysłuchiwałem się z podziwem, zachwytem niemal. Przypadkiem potrąciła o sieroctwo. Wspomniałem ze smutkiem moje. Ona mnie zrozumiała.

— Biedna to sieroca dola — rzekła.

— O, bardzo biedna — odpowiedziałem. — Doświadczyłem tego aż nadto i przyznam się, że nic smutniejszego nie znam na świecie. Może jestem stronny, ale mi się zdaje, że wolałbym był dolę nawet bardzo ubogiego sieroty, niźli moją. Czułbym był ból a tak tylko bezduszność jakąś i smutek. Nie dolegało mi nic, ale mnie też nic nie cieszyło. Życie dotąd płynęło mi bez trudu, bez walk, ale nudnie, ciężko, bo mi w piersiach brakło tchu ożywczego, brakło ciepła, którego tak pragnąłem. Myśl sama o tej doli okropną jest dla mnie...

— Nie poddawaj jej się pan—wtrąciła z współczuciem.

— Dziś się jej nie poddaję zupełnie, nawet nie czuję tej doli sierocej. Po raz to pierwszy w życiu dobrze mi jest i nie pragnę niczego...

— To dobrze — powiedziała półgłosem.

— Tak, to dobrze — pochwyciłem gorąco — to bardzo dobrze, bo to mnie uszczęśliwia, to życie wlewa nowe. Dziś pierwszy raz w życiu czuję w piersi budzące się jakieś uczucie dotąd nieznane, a takie błogie, żebym go nie oddał za żadne skarby świata — mówiłem z zapałem i nie wiem, jak się to stało, żem się do niej zbliżył.

Siedziała na małej kanapce. Odłożyła robótkę na bok, a splecione jej dłonie spoczęły na kolanach.

Patrzała mi w oczy otwarcie, spokojnie. Ten spokój jej uspokajał i mnie, lecz zarazem wzrok pociągał ku sobie.

— Czy wiesz pani komu mam tę korzystną zmianę do zawdzięczenia? — zapytałem.

Nie odpowiedziała nic, a ja mówiłam dalej.

— Opowiem to pani.

— Byłem smutny i czułem się bardziej niżeli kiedy w życiu osamotnionym. Sieroctwo moje dolegało mi bardzo. Nie widziałem przed sobą ani rąbka nadziei. Wtedy poznałem kobietę niezwykłą, która mnie pociągnęła ku sobie tajemniczą jakąś siłą, dobrocią niewysłowioną. Przylgnąłem do niej jak do nikogo dotąd. Zdawało mi się, że mi ona sprzyja, choć obca, a dotąd nie sprzyjał mi nikt. Pieściłem się tą myślą, rozkoszowałem jak dziecko i garnąłem się do niej. Po raz pierwszy doznałem silniejszego bicia serca. Ziębiony od kolebki ożywiłem się po raz pierwszy. Czy pani rozumiesz to szczęście, które ja nagle ujrzałem na mym szarym horyzoncie?

Czułem, że głos mój drżał. Patrzałem chwilę milcząc na nią. Była jakby otoczona aureolą świętości. Taką mnie się przynajmniej wydawała. Zbliżyłem się jeszcze bardziej, pochyliłem ku ziemi i ująłem jej ręce.

— Tym aniołem moim byłaś pani... Pani nauczyłaś mnie pierwsza zapomnieć o sieroctwie...

Klęczałem przy niej. Ona mych słów nie przerwała, nie odsunęła od siebie. Patrzała na mnie alem ją widział już tylko przez mgłę łzy, która zakręciła się w oku. Całowałem ją po rękach, a kiedym głowę oparł na jej kolanach i usiłował powstrzymać gwałtem cisnące się łzy, uczułem pocałunek złożony na mem czole.

— Biedne dziecko — wymówiła.

Jak ja jej za te dwa słowa dziękowałem, tego nikt nie pojmie. Czułem się szczęśliwym nad wyraz. Przestałem być sierotą. Pierwszy raz w życiu usłyszałem to słowo dziecko.

Tak, ja chciałem być nazwany dzieckiem, jak dziecko zapłaciłem jej za te słowa, za jej uznanie macierzyńskie, bo czułem, że z temi słowy zdobyłem i uczucie jej.

Teraz już umiałem nazwać moje przywiązanie. Była to miłość dziecięca, której tak pragnąłem, której innym dzieciom nawet zazdrościłem...

Potem, kiedym się nad tą chwilą zastanawiał, czułem że to przywiązanie może zrazu innem było, do innych zupełnie dążyło celów, choć było bezwiedne. Lecz stało się inaczej. Zdobyłem uczucie macierzyńskie, a w piersi mej prawdziwie synowskie biło serce.

Może się zrazu jeszcze we mnie burzyła krew młoda, bardzo młoda, może marzenia młodzieńcze inną snuły barwę ideału — stało się tak i dobrze się stało. Czułem to dobrze. Poznając po-

tem lepiej świat i ludzi, zrozumiałem, że gdybym był trafił na inną kobietę, mógłbym był zajść na manowce, mógłbym był stargać najświętsze w świecie węzły...

Ta kobieta o anielskiej dobroci i męzkiej sile duszy, ujęła mnie swą miękką dłonią i powiodła w życie drogą prawą i bezpieczną. Nauczyła mnie kochać, lecz kochałem ją jak syn, kochany iście po macierzyńsku. Jeżelim nazwał mą kolej nie zwykłą, to uczyniłem to z najgłębszego przekonania. Poznałem już wiele, wiele życia i wiem, że coś podobnego rzadko się zdarza.

Uczucie zaczęło teraz w piersi sierocej nagle się rozwijać. Z dniem każdym mniej czułem się sierotą.

Dziwną spostrzegłem w sobie zmianę. Dotąd byłem starym i widziałem to sam i inni mi to mówili. Z natury byłem smutny, najczęściej zamyślony, a wesołości szczerej, głośnej nie widział u mnie pewno nikt. Zdaje mi się, że to już takie prawo ogólne, któremu podlegają sieroty. Zostawione same sobie samodzielnieją przedwcześnie, lecz i przedwcześnie się starzeją. Rychlej ich spotykają zawody, rychlej uczą się być filozofami obojętnymi na niejedną rzecz poruszającą do głębi ich rówienników.

Takim byłem i ja.

Teraz zmieniałem się z każdą chwilą. Odmładzałem. Obcy dotąd dziecięcej miłości byłem postarzały, dziś doświadczywszy jej w całej pełni zacząłem być dzieckiem.

Ona mnie wiodła po tej drodze.

Z każdym dniem kochałem ją bardziej. Ona, gdym był kiedy smutny, nazywała mnie swem dzieckiem, a ja jako dziecko się rozrzewniałem i dziękowałem jej. Z każdą rzeczą odnosiłem się do niej, jej się radziłem. Ona też była doradczynią najszczerszą, a bardzo dobrą. Doświadczyła w życiu niemało, wykształcona, jak niewiele kobiet, mogła w każdej niemal sprawie poradzić. Za jej też idąc wskazówkami pracowałem i wkrótce widziałem dobre skutki tej pracy. Cieszyłem się tem i w niej widziałem zadowolenie.

Dzieliłem troski, dzieliłem radość, słowem nie miałem przed mą opiekunką żadnych tajemnic. Czasem, kiedyśmy rozmawiali o tym dziwnym stosunku, kiedy jej za dobroć, jaką mnie obdarzała dziękowałem, pozwalała mi się nazywać mateczką, sama mnie dzieckiem nazywała.

A kiedy ją po rękach całowałem, mówiła:

— Tylko niech się dziecko nie rozpieszcza, dziecko zaczyna być mężczyzną, nie pieszczot więc lecz pracy potrzeba.

— Pracować też będę, byle mnie mateczka moja wiodła po tej drodze, na którą za jej przewodnictwem wstąpiłem.

Ile takich dni przeżyłem, nie wiem.

Niebawem nastąpiła mała zmiana. Przyjechał mąż pani Anieli.

Przyjazd ten ani na chwilę nie zamącił spokoju, jaki w naszem życiu panował. Poznałem pana Skowrońskiego dobrze, a w miarę poznawania, nauczyłem się cenić go i kochać.

Był to człowiek lat około sześćdziesięciu. Poważny i siwy, miał wyraz twarzy tak ujmujący i szlachetny, że trudno go było nie lubić. Rozumny też był i wykształcony bardzo.

Poznawszy mnie, polubił tak jak i żona. Wielkie zaufanie, jakie miał całe życie do swej drogiej Anieli, nie zachwiało się ani na chwilę. Znał on ją bardzo dobrze, ażeby nie poznać odrazu, jaki był nasz wzajemny stosunek.

Odtąd i on był mężem doradcą i kierownikiem.

A potrzebowałem tego bardzo. Trzeba się było wziąć do pracy, boć przecie przepróżniaczyć całe życie trudno. Radził więc pan Skowroński, a radził tak, jakby to uczynił własnemu synowi.

Państwo Skowrońscy dzieci nie mieli. Teraz dziecięciem ich stałem się ja. Czułem tę miłość ich rodzicielską na każdym kroku.

Dnie to były w życiu mojem najszczęśliwsze, nie zapomnę ich nigdy. One to zawsze stają w obrazach mych wspomnień, choć lat już od tego czasu upłynęło wiele.

Lecz dnie te należą już tylko do wspomnień, jak wszystko minione.

Cóż więcej mówić o tych pięknych dniach? Były one jednostajne, a jednak tak pełne drobnych szczegółów, które mi dobrze utkwiły w pamięci. Przypominam je sobie dobrze, przypominam co dnia.

Dwa tak upłynęły lata.

Po dniach wesela nastąpiły dnie żałoby.

Zbyt to bolesne dla mnie wspomnienia, abym je mógł szczegółowo opisywać. Jakiś wypadek, przeziębienie, czy coś, sprowadził na moją opiekunkę ciężką niebezpieczną chorobę.

Niebezpieczeństwo trwało długo, nareszcie nastąpiła najstraszniejsza pewność.

Klęczałem u jej białego łoża, a oczy były pełne łez. Płakałem jak dziecko; nie mogłem się utulić.

Jak ona w tej chwili, gdy nas żegnała, była święta, dobra, anielska, tego żadne pióro nie zdołałoby określić.

— Rozstaniemy się na długo... bardzo długo... ale ja się z wami nie żegnam, tylko mówię: do widzenia — mówiła z uśmiechem pełnym słodyczy.

Mąż jej stał oparty o łóżko, a łzy toczyły się po jego sędziwem obliczu.

Położyła rękę na mojej głowie i długo nic nie mówiąc patrzała na mnie. Kiedy się na jej znak bliżej ku niej pochyliłem, podniosła się nieco, pocałowała mnie w czoło i ciszej niż przedtem powiedziała.

— Do widzenia!

Potem żegnała męża i bezsilna upadła na poduszki. Twarz była zupełnie spokojna. Urok świętości rozlewał się na niej...

Po chwili ledwie dosłyszalny odezwał się szept:

— Do widzenia.

Już nie żyła.

. . . .

Nad mogiłą dwóch nas stało smutnych. Mąż jej smutny był, lecz spokojny. Wielka rezygnacya malowała się na jego twarzy. On czuł to, że niedługo pójdzie za swą ukochaną. Odchodząc od grobu powtórzył jakby do siebie tylko:

— Do widzenia.

Ja byłem młody, mnie ból po tak wielkiej stracie złamał prawie. Byłem jak po zgonie prawdziwej matki.

Lecz i ból się pierwszy ukoił. I na mnie przyszła pocieszycielka... rezygnacya.

Odtąd żyliśmy z panem Skowrońskim ciągle razem. Najczęściej mówiliśmy o naszej ukochanej. Niedługo wszakże mogłem się pocieszyć temi rozmowami, które stały się potrzebą życia. Do straty pierwszej przybyła druga.

Za swą Anielcią podążył i Skowroński.

Stałem, patrząc na dwie mogiły, a w uszach mi dzwoniły słowa:

— Do widzenia...

Odtąd słyszę je ciągle, ciągle je sobie powtarzam, a często, często pytam:

— Kiedy?

Lat odtąd upłynęło niemało. Żyłem i żyję, bo żyć muszę. Pracuję, bo praca stała mi się potrzebą życia. Do pracy ona mnie nakłaniała; za jej poradą wziąłem się do pracy gorliwie i trwam w niej. A jeśli w wolnych chwilach puszczę wodze myślom, to one mnie wiodą w dalekie gdzieś światy i widzę jasną, świetlaną postać i słyszę ciche, jak szmer wietrzyku słowa:

— Do widzenia!...

KORESPONDENCYA Z WŁOCŁAWKA.

Do smutnych a poważnych uroczystości kościelnych należy dzień poświęcony pamięci zmarłych, dzień Zaduszny. Uroczystość ogólna świata katolickiego... święto żałoby... łez... pozagrobowych pamiątek... Obudzonej tesknoty i modlitwy kojarzącej żywych z umarłymi...

Cmentarz włocławski mieści w swym obrębie szczątki pośmiertne czterech wyznań. Ze strony prawej odciąwszy pierwszą murowaną katakumbę, zaczyna się miejsce wiecznego spoczynku wyznawców nauki Marcina roformatora. Ci zajmują zaledwie czwartą część cmentarza, przyległą do prawosławnego i mahometańskiego przytulonego pod murem jedną czy dwiema mogiłami. Lewą połowę ciągnącą się wzdłuż i zachodzącą w trójkąt, zajęli katolicy. I śpią spokojnie pod jedną garścią ziemi, pod osłoną ramion jednego krzyża świętego.

W dniu 1-go listopada ozwały się dzwony nieszporne za umarłych, olbrzym Hieronim jęczał przeciągle, a potem rozpoczął się pochód żałobny na groby. I tłumy zalały cmentarne ustronie, a z psalmą kapłanów mieszał się jęk i płacz po tych co nas wyprzedzili w tajemniczy kraj wieczności. Ostentacya grobów zdobnych w światło i kwiaty, mile wpadaćby mogła w oczy obojętnego widza co gdzieś w świecie po za sobą zostawił mogiłę ukochanych swoich. Było to złudzenie innej jakoby uroczystości, wszak i żywi w dni godowe stroją się w wieńce i blaski, a tłumy im uczestniczą. Umarli modlitwy tylko chcą od nas. Patrząc na te łzy i kwiaty mimowoli przypominają się słowa poety:

> Nie budźmy cieni zmarłych, spokojne tam chwile,
> Czas ich tyle obchodzi co kwiat na mogile...

A jednakże nie pożałowano kwiatów tym nawet co ich nigdy w życiu nie zrywali, nie poskąpiono światła tym co w pomroce i cieniach żyli między żywemi!... Widzieliśmy łzy dzieci na mogile rodziców, słyszeliśmy jęk matek na grobie dzieci, boleliśmy nad dziewicami skrapiającemi łzami płyty kamienne tłoczące pierś ukochaną, nad osieroconą starością tulącą się do wilgoci i pleśni kryjącej ich podporę i znicestwiałą opiekę i marzyliśmy nad zapadłemi kurhanami, na których nikt się nie modlił.

Gdzie ta łza padała, nie było girland i lampionów, rozpacz nie lubi tego w co się stroi nadzieja!... Nie idzie tu jednakże o to by ktoś potępiał strój mogił, broń Boże! bo te uploty bluszczowe, te wiązanki dalii i nieśmiertelników, te korony z mchu i borowcu, te świece i lampki, to świadki pamięci ludzkiej, to dowody wiary w nieśmiertelność duszy, która z wyżyn wiekuistości spogląda na ziemię i cieszy się czci oddawanej prochom ciała.

Jest na cmentarzu włocławskim mogiła szesnastoletniej dziewicy. Nad tą od lat kilku czuwa troskliwa i niezmęczona ręka przyjaźni i opieki, akacya perli ją kwieciem na wiosnę, śpiewa i szumi w jesieni. Bluszcz na niej nie więdnie nigdy i z pod śnieżnej opony, wyziera nieśmiertelną zielenią a płytę białą zdobią świeże zawsze kwiaty, jak świeżą i młodą była dzieweczka. Szczęśliwa, która nić przyjaźni poczętą u kołyski, umie prząść po za grobem drogiej towarzyszki...

W miastach zagranicznych wśród cmentarzy są tak nazwane kaplice Zmartwychwstania, gdzie pod opiekę zakonnic poruczają ciała posądzonych o śmierć pozorną.

Włocławek, który ma w projekcie wiele pięknych i pożytecznych rzeczy jak: oświetlenie elektryczne, ogród Saski, teatr stały i t. p. mógłby pomyśléć i o przytulisku dla pozornie umarłych.

Gdy mówimy o dodatnich zamierzonych w przyszłości udogodnieniach naszego miasta, niech nam wolno będzie i o jego teraźniejszych pogawędzić ujemnościach.

Nie myślę poruszać kiwających się w półcieniu latarni miejskich, ani dotykać szlachtuza graniczącego z murami miasta, bo go obiecują usunąć. Nie myślę rozczulać napaścią trzech rabusiów w pryncypalnej ulicy o jedenastej wieczorem na jadącego pana, boć się obronił gwiżdżąc w obywatelską świstawkę, czem spłoszeni rabusie uciekli. Bruków też nie zaczepiam, bo ród brukarzy nie zaginął a piasku i kamieni, nie brak u nas chwała Bogu...

Lecz do nadania większej uroczystości nabożeństwu w katerze, brak śpiewu chóralnego. Gdybyż to nie było muzykalnych w Włocławku to możnaby to jeszcze jako tako usprawiedliwić, lecz mamy damy, które śmiało śpiewem swym podnieść mogą powagę nabożeństwa,

Talent każdy to przecie dar Opatrzności, niechże więc służy ku chwale Tego, który nim obdarzył.

Były lata w których Włocławek szczycił się biórem informacyjno-nauczycielskiem pani Wolickiej, dziś brak nam takowego a strony interesowane narażone bywają na przykrości, koszta i trudy, gdy do Warszawy lub dalej podążać potrzeba. Zdarza się, że biedne pracownice na niwie naukowej, szukające pracy i chleba na prowincyi, przy dłuższem wyczekiwaniu pozbywają się grosza tak mozolnie zapracowanego a szczędzonego na czarną godzinę choroby i niedostatku. Ułatwianie drogi do pracy wypartym z własnego gniazda tułaczkom, to także zasługa.

Paulina Biernacka.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Supiński Józef. Siedm wieczorów. Pogadanki o rzeczach pożytecznych. (Oddzielne piąte wydanie). Warszawa 1883 r., cena 15 kop.

Samo nazwisko autora daje nam już rękojmię, że mamy przed sobą rzecz dobrą, godną aby się znalazła w rękach każdego mimo, że „Siedm wieczorów" przeznaczonych jest dla ludu. Wedle zdania Supińskiego książki pisane dla ludu, powinny popularyzować wszystkie nauki, a przedewszystkiem podawać te wiadomości, które lud zużytkować może w życiu praktycznem.

„Siedm wieczorów" obejmuje rozprawki: O człowieku prawdziwym, O pracy, O mieniu, O wymianie, O rządzie, O oświacie i Jeszcze o oświacie.

W pracy tej znajdujemy wszystko niemal co maluczkim wiedzieć należy, jest tu więc nieco z dziejów człowieczeństwa, z geografii, historyi, fizyki, arytmetyki, zoologii, oświaty i ekonomii. Rzecz nader pożyteczna i godna zalecenia do głośnego czytania i objaśniania przez tych, którzy losem ludu się zajmują.

„Gdzieindziej książeczka taka, jak mówi słusznie J. I. Kraszewski, rozeszłaby się w setkach tysięcy egzemplarzy; u nas zaś?..." Niewątpimy jednak i mamy nadzieję, że „Siedm wieczorów" niebawem doczekają się podobnego upowszechnienia.

Pintowski Felicyan. Pogadanki Wojciecha. Lwów 1883 r.

Pogadanki Wojciecha, wydane przez lwowski komitet wydawnictwa dziełek ludowych, należą do rzędu lepszych książeczek tego rodzaju. Nie mogąc podawać treści każdej pogadanki, podajemy ich tytuły: Stawy i ryby, Strachy, Modlitwa, Utrzymanie bydła, Zamiana gruntów, Chaty wiejskie, Karczmy i propinacye, Kryminał, Wychowanie dzieci, Sądy, Loterya, Wybory, Szkoły wyższe. Przedmioty te są powiązane pogadanką tak, że każdy następny wypływa z poprzedniego i jest odpowiedzią na pytanie rzucone mimochodem. Tak forma całości jak i sposób przeprowadzenia myśli przewodniej są bardzo dobre i życzyć by należało, aby wszyscy pisarze ludowi szli za przykładem autora „Pogadanek" a pewni być możemy, że prace ich szybko rozchodzić się będą.

Wł. Kor. Zieliński.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Dnia 18 b. m. nastąpiło w Pradze czeskiej otwarcie teatru narodowego z wielką uroczystością. W telegramach „Kuryera Codziennego" następujące mieszczą się doniesienia:

Praga, 18 listopada. Od rana dziś całe miasto w uroczystym nastroju. Ruch na ulicach wielki. Z gmachów miejskich powiewają chorągwie o barwach narodowych. Napływ gości z kraju i z za granicy ogromny. Goście pomieszczeni są i podejmowani w znaczniejszych hotelach na koszt miasta. Wszystkie ziemie słowiańskie są reprezentowane, stosunkowo najliczniejsi są goście polscy z Królestwa, Galicyi i Poznania.

Pierwsza ceremonia otwarcia Teatru Narodowego odbyła się w południe. Rozpoczęła „Husitska Ouvertura" Dvorzaka, poczem artystka dramatu, pani Bittnerowa, wygłosiła prolog, napisany przez Jarosława Vrchlickiego. Prolog pełen prawdziwej siły poetyckiej, wzbudził ogromny entuzyazm. Po umilknięciu długich oklasków, artyści opery odśpiewali kantatę, Karola Bendle przyjętą przez publiczność z zapałem. Kompozytora kilkakrotnie wywołano. Z kolei artysta Seifert wystąpił z odczytaniem epilogu (również pióra Vrchlickiego). Z ostatniem słowem poezyi podniosła się tylna kurtyna i zachwyconej publiczności ukazał się wspaniały obraz z żywych osób, przedstawiający apoteozę sztuki narodowej. Wrażenie kolosalne; zagrzmiały trzykrotnie powtarzające się okrzyki Slava! Wszyscy obecni byli do głębi wzruszeni.

Na zewnątrz masy ludu otaczały teatr.

Z powodu tej pięknej uroczystości, czytamy w „Gazecie Polskiej":

W dniu wczorajszym odbyło się w Pradze czeskiej uroczyste otwarcie teatru, mające wspaniały charakter święta narodowego. Nowy gmach bowiem dwa razy budowany, z powodu klęski pożaru, kosztujący miliony zebrane z hojnych darów bogaczy, równie i z grosza wdowiego najuboższej ludności, — jest czemś więcej dla Czechów niż okazałym przybytkiem sztuki. Jest on wymownym pomnikiem siły żywotnej narodu, który zdławiony niegdyś w morderczej walce, wyzuty z praw, zalany powodzią obcego żywiołu, przetrwał najdotkliwsze ciosy, jakiemi los doświadcza kraje podbite i odrodził się przez pracę. Otrząsnąwszy się z długiego letargu, lud czeski nie doznał znikąd opieki, nie znalazł światła i moralnego poparcia nawet w swojej klasie przewodniczącej, już to w znacznej części wytępionej mieczem, już skalanej ogólnem odstępstwem, sam więc musiał dźwigać się z niemocy i poniewierki, sam się oświecił i wzbogacił, jak sam sobie teraz zbudował piękny swój teatr.

Trudne było położenie Czechów ale czuli oni, że jeszcze pozostał im skarb jeden: świadomość, czem są i wolę zachowania swej istoty. Patryoci czescy zrozumieli, że skarb ten odkupi przyszłość, jeżeli rzucony jak ziarno w łono pokoleń, bujnie tam zakwitnie, rozkrzewi się i ogarnie masy. Zrozumieli, że brzemie dziejów ujarzmionego kraju przechodzi z ramion królów, rycerzy i mężów stanu na ogół społeczny, obciążając cząstką zadań i odpowiedzialności jego członków bez różnicy zawodu i wieku: księdza w kościele, nauczyciela w szkole, dziennikarza przy biurku redakcyjnem, przemysłowca w fabryce, chłopa przy pługu, dziecko przy książce. Zrozumieli, że gdzie nie ma pola do czynów bohaterskich, tam trzeba mieć odwagę pracować skromnie, stojąc odważnie na obronnem stanowisku swojej narodowości wszyscy razem i każdy z osobna. Kierowani tą myślą Czesi stworzyli ojczystą literaturę, rozwinęli oświatę, podnieśli wysoko przemysł i rolnictwo, pozakładali instytucye ekonomiczne będące dziś wzorem dla sąsiadów, a jawnem zaprzeczeniem wyroków świata politycznego, który, mierząc skalą zdolności zaborczej prawo narodów do życia, oddawna już był zaliczył Czechów do ludów wymierających.

Jednocześnie z tą tak piękną uroczystością odbył się pogrzeb zmarłego redaktora Narodnich Listów Baraka, człowieka wielce cenionego w całych Czechach. W telegramach „Kuryera Codziennego" czytamy co następuje:

Pogrzeb Baraka, redaktora „Narodnich Listów”, był wspaniałą poważną narodową manifestacyą.

Zwłoki dzielnego bojownika sprawy narodowej wystawione w bogatej trumnie w wielkiej sali „Umeleckiej Besedy” na katafalku, wśród mnóstwa egzotycznych kwiatów i wieńców. U zwłok honorową straż pełniły dwie korporacye studenckie, jedna w czamarach, druga w historycznych strojach z epoki wojny trzydziestoletniej. Przez cały dzień tłumy ludu spieszyły złożyć cześć zmarłemu patryocie. Deputacye honorowe towarzystw studenckich, rzemieślniczych, przemysłowych z Pragi i odległych stron całego kraju, składały na katafalku setki wieńców ze świeżych kwiatów z napisami, umieszczonemi na szarfach o barwach czeskich i słowiańskich.

Po odśpiewaniu hymnu przez chór mieszczański, zdjęto trumnę z katafalku i ruszył pochód pogrzebowy na miejsce wiecznego spoczynku. W pochodzie tym smutnym i rozrzewniającym wzięły udział wszystkie czeskie stowarzyszenia, korporacye pragskie i honorowe stowarzyszenia z prowincyi. Ogółem było przeszło 200 stowarzyszeń. Na czele pochodu jechali na koniach w historycznych strojach studenci, jako honorowa straż, następnie czeskie stowarzyszenie studentów ze sztandarem. Przed trumną postępowało duchowieństwo, za trumną „Pragski Sokół“ ze sztandarem, stowarzyszenia Sokołów z prowincyi i deputacye stowarzyszeń z całego kraju ze swojemi sztandarami (50 sztandarów), obadwa polskie kluby: „Polskie koło” i „Ognisko”, wszystkie słowiańskie stowarzyszenia w Pradze i przybyli na otwarcie Teatru Narodowego goście słowiańscy. Za trumną szedł burmistrz miasta Pragi, Tomasz Czerny i zastępca Namiestnika; niezliczone tłumy ziemian, rodzina i przyjaciele zmarłego, członkowie stowarzyszenia czeskich dziennikarzy i t. d. Pochód trwał przeszło dwie godziny, postępując przez ulice: Spaloną i Przedmieście Wacława.

Mowy w sali Umeleckiej Besedy wygłosili: dr. Strakaty i dr. Podlipny.

Po skończeniu pogrzebu, lud zgromadzony na nim, w ilości najmniej 15,000 przeciągnął we wzorowym porządku, przed gmachem teatru śpiewając pieśni narodowe i wydając grzmiące okrzyki: Slawa!

*** Piękne Błonia krakowskie ulegną na wiosnę nader pożądanej zmianie. Plac do ćwiczeń wojskowych obrany będzie gdzieindziej, a w malowniczej tej miejscowości urządzony będzie park dla spacerów pieszych i powozowych. Błonia zaniedbane dotąd staną się krakowskim Praterem, lub podwawelskiemi Polami Elizejskiemi. Plan parku wygotował już p. Rusteyko, jeden z najzdolniejszych w kraju ogrodników-architektów. Stary Kraków zdobi się coraz więcej.

*** Kółko amerykańskich emancypantek pozazdrościwszy rozgłosu odkrywcom nowych dróg morskich, postanowiło odbyć wyprawę złożoną z samych kobiet, pod sterem i kierunkiem wyłącznie kobiecym. W tym celu, jak donoszą amerykańskie dzienniki, wyekwipowano fregatę „Zuzannę”, która z jednego ze wschodnich portów wyruszyła już do Afryki, a na jej pokładzie znajdują się doktor, zoolog, botanik i wielu uczonych, płci pięknej. Kapitanem okrętu jest panna Crosh, sternikiem pani Darck. Tylko do najpodrzędniejszych zajęć i posług, wynajęto mężczyzn. Zakrawa to trochę na kaczkę dziennikarską, że w najpoważniejszych tamtejszych dziennikach, coraz częściej podnoszą się głosy przeciw bezgranicznie przesadnie pojmowanej emancypacyi, prowadzącej do zaniedbywania obowiązków rodzinnych, dla najrozmaitszych stowarzyszeń, obrad, meetingów i t. p. Wyszydzając tę manię pewien fejletonista amerykański przytacza następujący urywek rozmowy między mężem i żoną.

„Moja droga, pyta nieśmiało mąż, gdzie też są klucze od szafy?” „Co! klucze? i ty sądzisz, że mam czas myśléć o jakichś kluczach, kiedy jutro przypada posiedzenie „Ligi emancypantek”, we wtorek posiedzenie pań „Missyi rodzinnych”, we środę obrady „Siostr jerychońskich”, we czwartek sesya „Naukowego koła niewiast”, w piątek rozprawy w „Stowarzyszeniu kobiet dla wspierania uwolnionych więźniów”, w sobotę aż dwa walne zgromadzenia: „Członków klubu kobiet postępowych” i „Związku pań zwolenniczek głosowania”... Daj mi pokój, mój kochany, sam pilnuj domu, ja nie mam na to czasu... Ale, ale, nie wrócę aż wieczór, uważaj, proszę, żeby dziecko nie wypadło z kolebki.”

Biada rodzinom w których kobiety w podobny sposób pojmują emancypacyę!

*** „New-York-Herald” donosi, że odkrytą została wielka podbiegunowa rzeka, przez dowódzcę rządowego amerykańskiego parowca „Corwin” wysłanego do Alaska z podarunkami dla Indyan Czukczei, którzy wyratowali konającą z głodu załogę amerykańskiego okrętu „Rogers”. Już poprzedni eksploatorowie wspominali o tej rzecze i porucznik Starey posuwał się drogą południowo zachodnią od Hatham Inlet, aż dopokąd nie napotkał rzeki i postępował wzdłuż jej brzegów około 16 mil, aż do jej ujścia. Widział tam płynące ogromne sztuki drzewa, każące wnosić, iż prąd rzeki jest długi i bardzo silny. Idąc z powrotem, około 50 mil, dowiedział się od krajowców, iż potrzebaby iść kilka miesięcy chcąc dojść do źródeł rzeki i nadto Indyanie ci powiedzieli, że szli 1500 mil w górę i że w pewnych miejscach szerokość rzeki dochodzi do 20 mil. W tej podbiegunowej strefie, pomocnik Storey’a znalazł nad brzegami rzeki kwiaty i wegetacyą nigdy dotąd nie spotykaną na tej szerokości geograficznej. Obecnie, powróciwszy, zażądał od Stanów Zjednoczonych pozwolenia odbycia powtórnej wyprawy w tamte strony, dla dokładnego zbadania odkrytej rzeki.

Zawiadomienia.

Na Gwiazdkę i noworoczne podarunki dla uczącej się dziatwy, polecamy WIZERUNKI KRÓLÓW POLSKICH podług rysunków Tytusa Maleszewskiego, z krótkim tekstem w ozdobnej oprawie. Cena egzemplarza rs. 2 kop. 50. Za przysłaniem kwoty tej do Redakcyi Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci ładną tę książeczkę wysyłamy bez żadnej dopłaty za pocztę i opakowanie.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz Prospekt „Tygodnika Mód i Powieści” i „Przyjaciela Dzieci”.

Дозволено Цензурою, Варшава 8 Ноября 1883 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego**, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 47, r. 1883.

W DOBRYM TONIE.

Przekład z angielskiego

Przez K. P.

(Dokończenie.)

— Czy z pewnością nie zechcesz ujść z mych rąk skoro się odwrócę?

— Gdybym miał ten zamiar, nie przyszdłbym do ciebie milordzie?

— Nie mogę pojąć! W jakimże celu przychodzisz do mnie?

Frank nie wyrzekł ani słowa.

— Milczyz, a więc ja ci powiem, Master Tippington! Sądziłeś że masz do czynienia z człowiekiem dobrodusznym, skłonnym do rozczulenia; wyobraziłeś sobie że wzruszony twem wyznaniem, puszczę cię bezkarnie. Plan obmyślony wybornie... Już to Irlandczycy...

— Nie wyobrażałem sobie nic podobnego. Wiem, milordzie, że jesteś człowiekiem zimnym i surowym, nie dającym się niczem rozczulić. Przyszedłem tu, bo przyjść musiałem.

— No, no! Nie chcę uważać cię, master Tippington, za gorszego jak jesteś rzeczywiście. Nazwałeś mnie w oczy, człowiekiem zimnym i surowym, to mi się podoba. Wierzę iż nie wziąłeś tych pieniędzy aby je schować do kieszeni, ale skorzystałeś ze sposobności, i spłaciłeś nimi jakiś naglący dług... jeden z takich które ukrywa się starannie... rachując na to że wyznanie pociągnie za sobą rozgrzeszenie. Jednak musisz o tem wiedzieć że bez wyznania nie można otrzymać rozgrzeszenia, i dlategoteż radzę ci wyjawić mi prawdę. Jestto jedyny sposób uniknięcia skandalicznego procesu i hańby.

Frank wstrząsnął głową i odpowiedział:

— Byłbym to uczynił, gdyby to było możliwem.

— W takim razie każę cię aresztować. Możesz mieć żal tylko do siebie.

Z piersi Franka wydobyło się głębokie westchnienie, prawie westchnienie ulgi. Dla człowieka cieszącego się ogólnym szacunkiem, wychowanego w najściślejszych zasadach cnoty, ta rozmowa z baronetem była najcięższą próbą jaka go spotkać mogła. Byłby wolał od razu dostać się do więzienia; tam przynajmniej cisza i samotność przyniesie jakąś ulgę jego zbolałemu sercu.

Baronet spoglądający na niego z pod oka spostrzegł z zadziwieniem tę przelotną zmianę jego twarzy, i nowa myśl zabłysła mu w głowie. Może ten człowiek dostał pomieszania zmysłów? Baronet znał Franka już od dawna. Czy podobna uwierzyć aby człowiek młody, mogący spodziewać się pięknej przyszłości, zaledwie ożeniony, szczęśliwy, mógł z zimną krwią przywłaszczyć sobie pięćset funtów, i zaraz potem oddać się dobrowolnie w ręce sprawiedliwości? nie, to przechodziło granice prawdopodobieństwa. Tak, jestto warjat oskarżający się o zbrodnię której nie popełnił. Trudno nawet wątpić o tem!

Baronet rozdarł rozkaz aresztowania i położył pióro. Postanowił uwiadomić jak najprędzej przyjaciół Franka.

— Master Tippington, może życzysz sobie widzieć się z żoną.

Rysy Franka skurczyły się jakby pod wpływem fizycznego bólu.

— Żona jest u mej matki.

— Rozumiem, pomyślał baronet, przestraszyła się i pośpieszyła wezwać na pomoc jego rodziców. Przez ten czas manija tego biedaka rozwinęła się jeszcze silniej. Zdarzają się dość często obłąkani oskarżający się o zbrodnie których nie popełnili.

Baronet wstał, wszedł do gabinetu stykającego się z biblioteką, zamknął na klucz drzwi prowadzące do sieni, prosił Franka aby tam przeszedł a następnie zostawił go tam, i wróciwszy do swego biurka, zaczął przerzucać notatki, chcąc się dowiedzieć kto mu dawniej zalecał gorąco Franka, i po krótkiem poozukiwaniu znalazł że to Bryan Donolly. Nie tracąc ani chwili czasu, posłał po niego, aby przyszedł jak najśpieszniej do pałacu. W kilnaście minut później nadszedł Bryan, boleśnie dotknięty nieszczęściem przyjaciela, ale nie domyślając się wcale że ma to jakąś łączność z wezwaniem baroneta.

Lord Hope opowiedział mu wszystko w krótkich słowach. Bryan osłupiał prawie: Frank miałby sobie przywłaszczyć pięćset funtów! tego nawet przypuścić niepodobna. Ale któż je wziął w takim razie? Letycya? Podobne podejrzenie nawet nie zbudziło się w jego umyśle. Co innego uwierzyć że kobieta roztrzepana przyjmuje hołdy jakiegoś dawniejszego wielbiciela — jakkolwiek i to jest rzeczą naganną i zgubną — a co innego przypuścić że ukradła z kassy męża pięćset funtów.

Była to dla niego smutna i niepodobna do rozwiązania zagadka; nie mógł poprzestać na tem jakie mu przedstawił baronet.

— Milordzie, rzekł, nie mogę zrozumieć co się stało, ale gotów jestem dać poręczenie za mego przyjaciela na taką sumę jaką sam oznaczysz. Czy zgoda?

— Tak.

— A więc jest wolnym?

— Zupełnie.

— Dziękuję. Pójdzie razem ze mną. Będziemy tak długo rozmyślać nad tą zagadką, że ją w końcu rozwiążemy.

— Najlepiej zrobisz, panie Donnolly, jeżli zawezwiesz do pomocy doktora Mitchel. Silne wizykatorye na karku przyłożą się skuteczniej do znalezienia moich pieniędzy, niż cała policya połączonych królestw!

XIX.

Na wsi.

Letycya przybyła do fermy z ogromnym zapasem dobrych zamiarów.

Matka męża, którą ujęła zaraz wdziękiem swej świeżej twarzyczki, czuła się teraz więcej pociągniętą ku niej, widząc że z przejęciem bierze udział w wspólnej modlitwie i łączy swój głos do śpiewających pieśń wieczorną.

Lato było tak urocze jak bywa tylko na wsi. Letycya oddychała z rozkoszą wonią dolatującą z łąk, tęschniła za Frankiem, i zaczęła nabywać przekonania że wieś ma także swoje przyjemności.

— Jutro będziesz mogła widzieć się z ojcem, rzekła do niej matka. Dziś już zasnął, i nie chcę go budzić. Sam widok twój, moje dziecię, pokrzepi jego siły.

Ten komplęment połączony z przyjaznem spojrzeniem, ucieszył Letycyę.

Pani Tippington trzymająca się we wszystkiem dawnych zasad, uważała że nie byłoby to rozsądnie ani właściwie, mówić młodej kobiecie że jest piękną.

Letycya udała się wkrótce do swego pokoju, położyła się, i zamknąwszy oczy przebiegła myślą wypadki dnia dzisiejszego.

— Frank mi przebaczy, pewno już przebaczył, myślała. Zapomni o tym nieznośnym banknocie! Przybędzie tu raniutko, uściskam go, wszystkie chmurki znikną z naszego nieba, a słońce jeszcze radośniej przyświecać nam będzie. Będę kochać jego matkę! A jaka piękna ta czarna krówka! z największą przyjemością wydoiłabym ją sama i nauczyłabym się robić masła. Kto wie czy nie byłoby lepiej sprzedać księgarnię a kupić fermę. Dianna odda mi pieniądze i nigdy już...

Sen przerwał dalsze projekta Letycyi. — Nie domyślała się nawet, że gdy ona widzi przyszłość w tak różowym kolorze, mąż jej znosi ciężkie męczarnie.

Nazajutrz wstała równo ze świtem, wybiegła napodwórze, weszła do szopy z sianam, potem do obory, ucałowała czarną krówkę, przywoływała do siebie wszystkie gatunki drobiu, brała na ręce jagnięta, tylko trzodę chlewną odpędzała z gniewem. — Pfe! obrzydliwe stworzenia! Ani jedno nie postanie w mojej fermie! Zarumieniona, wesoła, uśmiechnięta i swobodna jak dziecko, przyniosła z kurnika świeżo zniesione jaja, usmażyła grzanki z chleba i nakryła do śniadania.

— Tak, tak, mówiła w myśli, krzątając się w kuchni, czynię widoczne postępy! Wyrzekam się kaprysów, wymagań, dąsów! Sądzę że mi to łatwo przyjdzie; a tak jestem zadowolniona, szczęśliwa.

Po śniadaniu, mistress Tippington wprowadziła synowę do pokoju teścia. Letycya zadrżała spojrzywszy na tę twarz bladą, otoczoną długiemi ale już siwemi włosami, które wraz z siwą brodą spływały aż na kołdrę. Niestety! pomyślała, nie jestem jeszcze tak dobrą abym mogła żyć z ludźmi w tak podeszłym wieku, zwłaszcza z choremi! Nie lubię ich, budzą we mnie przestrach.

— Niech cię Bóg błogosławi, moje dzi ecię, odezwał się starzec wyciągając do niej swą wychudłą rękę. Widok twej ładnej twarzyczki rozwesela moje oczy.

Letycya spuściła swoje. Było coś w spojrzeniu master Tippingtona, co jej przypominało Franka. Czy Frak, jej mąż, młody, piękny, silny, będzie kiedyś wyglądał tak samo?

— Oh! zestarzeć się tak, zestarzeć! zakosztowawszy radości i szczęścia, jakie daje młodość! To rzecz straszna!

Starcy i staruszki, mówiła w myśli Letycya, z pewnem oburzeniem na prawa rządzące ludzkością, powinniby żyć razem gdzieś na ustroniu, otoczeni wszelkiemi wygodami, ale zdala od młodych! Rozumieją się wzajemnie, więc byłoby im łatwo zgodzić się z sobą, a my bylibyśmy uwolnieni od przykrego widoku tych zgrzybiałych twarzy.

— O czem tak zamyśliłaś się, moje dziecko? zapytał strarzec.

— O niczem takiem co byłoby warto powtórzyć, odpowiedziała rumieniąc się lekko.

— Wyręcz mnie, Letycyo, rzekła mistress Tippington: weź biblię i przeczytaj nam jeden z psalmów. Oczy nie bardzo mi już służą.

Letycya tak chętnie zastosowała się do tego życzenia, że ucieszyła tem przybranych rodziców. A gdy nieśmiało i ze wzruszeniem czytała słowa Pisma Świętego, własny jej głos tak dziwnie brzmiał jej w uszach, że słuchała go jakby to ktoś inny czytał jej po raz pierwszy, coś zupełnie jej nie znanego.

Zamyśliła się zamknąwszy już książkę.

Czy oni żyli zawsze tak jak obecnie? mówiła do siebie. Czy zawsze byli dobrzy i pobożni? Zdają się bardzo przywiązani do siebie, pomimo tak podeszłego wieku! Czy też zawsze zgadzali się z sobą lub sprzeczali się często jak ja z Frankiem? Czy ona była zawsze cicha i łagodna, lub też stała się dopiero taką przez miłość dla niego? Te dwie pomarszczone twarze były więc kiedyś młode i świeże, zdolne obudzić uczucie miłości? Trudno temu uwierzyć! Ba! wszakże ja sama czuję się w tej chwili inną jak byłam, rozsądniejszą i lepszą. Nic już teraz nie zakłóci szczęścia mojego Franka... Ale czemu on nie przyjeżdża? Dwónasta wybiła! Niepodobna aby się dotąd nie przekonał, że zdala od żony życie byłoby dla niego nieznośnem.

Ale godziny upływały a Frank nie przyjeżdżał. Nadszedł wieczór, po nim noc i nie było Franka Letycya z trudnością powstrzymywała łzy, aby rodzice nie poznali jak bolesnego doznała zawodu.

Gdy nakoniec po wspólnej modlitwie weszła do swego pokoiku, rzuciła się na łóżko zalana tak gorzkiemi łzami, jakie dotąd nigdy nie płynęły z jej oczu.

Przebudziwszy się nazajutrz, zapragnęła gorąco udać się do Clanmena, wyznać wszystko mężowi, i tym sposobem przywołać znów szczęście i spokój do domu.

Niespokojna i wachająca się, zwróciła przy śniadaniu rozmowę na to co ją dotąd podtrzymywało od wyznania prawdy: na swe przyrzeczenie.

— Czy powinniśmy spełniać wszelkie nasze zobowiązania? zapytała niepewnym głosem.

— Bezwątpienia. Przyrzeczenie jest rzeczą świętą. Przyrzeczenie nie może być czemś tak kruchem jak szkło.

— Ale jeżli przyrzeczenie było wykonane nierozważnie... jeżli ktoś nie wiedział dobrze co czyni; jeźli przez to nasze szczęście lub szczęście ukochanej osoby może być zniweczone, stracone na zawsze?

— Moja córko sumienie nakazuje nam spełnić to cośmy przyrzekli, bez względu czy nam to przyniesie szczęście lub nieszczęście. Idzie tu o wypełnienie obowiązku, a nie o to czy nam się to podoba lub nie.

Letycya westchnęła. Obowiązek! Zawsze ten nieznośny obowiązek. To jakiś okrutny, przygnębiający ludzkość wynalazek, wymyślony po to jedynie aby ją unieszczęśliwić! A jeźli Dianna Hope nie zwolni ją z przysięgi? Jeźli Frank nie zechce jej widzieć dopóki mu nie wyzna prawdy? Cóż jej wtenczas pozostanie, jej dotąd tak pieszczonej, kochanej uwielbianej, prócz smutku, boleści i upokorzenia?

Nie zdolna pogodzić się z podobną myślą odezwała się znów:

— Jakto! więc jesteśmy związani nieodwołalnie, nawet nierozważnem i najniebezpieczniejszem przyrzeczeniem?

— Tak silnie jak żelaznym łańcuchem krępującym nasze ruchy! Potem dodała z uśmiechem: Zastanów się dobrze, moja córko, zanim uczynisz jakie. Przyrzeczenie to najstraszniejsza rzecz na świecie!

— Jak się tu zastanawiać jeźli nie ma na to czasu, jeźli okoliczności przynaglają, jeźli niepodobna nam przewidzieć złych następstw?

— Jak? Pamiętać zawsze że słowo dane jest słowem niewzruszonem. W takim razie nie damy go nigdy lekkomyślnie.

— O! zawołała gwałtownie Letycya, jeźli trzeba tak bardzo rozmyślać nad każdem słowem, nad każdym naszym czynem i możliwemi jego następstwami, nie warto tak się troszczyć o życie jak się o nie troszczymy!

— Przeciwnie, jestto jedyny sposób nadania mu wartości. Zapytaj się o to Franka.

— Franka! zawołała Letycya, nie rozumiejąc sama czemu to imie wymówiła prawie z gniewem.

Biedny Frank, jakiż on dzień przepędził gdy żona jego uczyła się oceniać przyjemności wsi i cichych zajęć domowych.

Niezłomne postanowienie, uporczywe milczenie Franka, zniweczyły wszelkie usiłowania Bryana, w celu wydarcia mu jego tajemnicy. Zdawało się że przez te dwanaście godzin moralnego cierpienia przybyło mu dwanaście lat życia, pozostawiając swe ślady na czole, wczoraj jeszcze jaśniejącem młodością.

Frank odpowiadał tak ostrożnie na zapytania przyjaciela, że Bryan nie śmiał wymienić imienia Letycyi, gwałtem nasuwającego mu się na usta. Powetował to sobie jednak wróciwszy do siebie; nie oszczędzał Letycyi, tak dalece, że Henrieta zawołała z żywością:

„Letycya miałaby wziąć te pięćset funtów. Jestto równie nieprawdopodobnem jak gdybyś ją posądził o morderstwo. Ale słuchaj, Bryanie, Frank jednocześnie ze zniknięciem pieniądzy jeździł do fermy, mówią że ojciec jego jest w złych interesach, może Frank nie umiał oprzeć się pokusie wyprowadzenia go z kłopotów. To przypuszczenie zdaje mi się prawdopodobniejsze niż twoje. Pięćset funtów! Powiedz mi co Letycya mogłaby z niemi zrobić? Zdaję mi się że prędzej znalezionoby je w Green-Tarm niż u niej.

Bryan milczał chwilę jakby się zastanawiał nad słowami żony, a potem zawołał:

— Nie! nie! stokroć nie! Ani Frank, ani jego ojciec nie szukaliby ratunku w tak niecnych środkach. Pieniądze musiały przejść do kieszeni znajomego Letycyi, *nocnego spiewaka!*

— To tylka przewidzenie! Letycya kocha męża.

— Zkądże ta pewność?

— Wyczytałam to z jej oczu.

Na tak niezbity dowód, Bryan odpowiedział już tylko uśmiechem i pocałunkiem.

Ciemności wzrastały, nieszczęście zdawało się nieuniknionem. Bryan postanowił koniecznie dowiedzieć się prawdy, tym sposobem jedynie mógł ratować przyjaciela. Przekonany że Letycya mogła najlepiej wyjaśnić tajemnicę, postanowił napisać do niej.

Gdy list przyniesiono do fermy, Letycya robiła masło w mleczarni; z odwiniętemi po łokcie rękawami, w białym fartuchu, dumna ze swych postępów na tej nowej dla siebie drodze. Gdy zobaczyła list zaadresowany do niej obcą ręką, porzuciła masło, pobiegła do swego pokoju, złamała pieczątkę i przeczytała:

„Pani, może fakta opisane poniżej już są jej znane, w takim razie zechciej wybaczyć że je powtarzam, lecz uważałam sobie za obowiązek uwiadomić o wszystkiem. Onegdaj lord Hope zawezwał mnie do pałacu. Tam dowiedziałem się że Frank siedział zamknięty na klucz w drugim pokoju, jako posądzony o kradzież.

„Baronet, przez pomyłkę, wręczył mu na rzecz szpitala, bilet bankowy na pięćset funtów zamiast na pięćdziesiąt, otóż Frank nie ma tego biletu, i nie może, lub nie chce powiedzieć co się z nim stało. Na wszystkie pytania baroneta odpowiadał tylko: że ponieważ nie jest w stanie zwrócić mu jego pieniędzy, przyszedł oddać się w jego ręce, gotów znieść wszelkie następstwa jakie to pociągnie za sobą. Lord Hope przypuszcza że Frank dostał pomieszania zmysłów, ja nie podzielam tego mniemania, ale gdzież są pieniądze?

„Baronet miał zamiar oddać Franka w ręce policyi, lecz za mojem poręczeniem pozostawił mu jeszcze wolność na piętnaście dni, to jest do dnia w którym rozpoczną się znów posiedzenia sądu. Zdaję mi się że lepiej nie wspominać jeszcze nikomu o tej nieszczęsnej sprawie, w razie potrzeby, sam zaniosę tę bolesną wiadomość rodzicom mego przyjaciela.

B. Donolly.

Bryan nie oszczędzał jej wcale, nie starał się złagodzić prawdy, w przekonaniu, że tylko cios gwałtowny może doprowadzić tak lekkomyślną istotę, do potrzebnego wyznania.

Czyby też nie żałował tego gdyby mógł widzieć że Letycya upadła na ziemię bezsilna, śmiertelnie blada, po przeczytaniu tego listu? Czuła jednak, rozumiała wszystko z przerażającą dokładnością; każde słowo listu padało jak wrzący ołów na jej serce. Pojmowała teraz całą okropność położenia, całą rozciągłość swej winy.

Frank się oskarżył, chciał przyjąć na siebie winę okrywającą go hańbą, stracić byt, zniweczyć całą swą przyszłość, uchodzić za *złodzieja!* nie dbając o swe życie — bo z pewnością nie przeżyłby tego. — I dlaczego? dla usunięcia wszelkiego podejrzenia od istoty tak występnej jak ona!

Frank miałby zasiąść na ławie oskarżonych! być sądzonym, skazanym!.. To nie może być prawdą! to jakieś straszne marzenie... to kłamstwo jedynie!

Niestety! list przy niej leżący nie dozwolił jej wątpić długo o bolesnej rzeczywiści. Bezwładna rozpacz i żal nie zdołają odwrócić niebezpieczeństwa, tu działać trzeba.

Po raz pierwszy w swem życiu Letycya zapomniała o sobie, zaparła się swego samolubnego *ja*. Miłość oczyszczona ogniem cierpienia, dokonała w jej sercu tego dzieła. Nie wiedziała jak się to stało, ale z jej serca wypłynęła modlitwa szczera i gorąca, modlitwa błagająca o coś więcej jak o własne szczęście, bo o moc duszy do spełnienia obowiązku. Nie błagała naprożno, Bóg natchnął ją tą mocą. Zapanowawszy nad swem wzruszeniem, poszła do matki męża i oznajmiła że musi wyjechać, gdyż obecność jej w domu była potrzebną dla Franka...

Tak, mówiła prawdę, była dla niego potrzebną, nie tylko dla tego aby go oczyścić z krzywdzącego zarzutu, ale że złe dni nadeszły, że ją kochał i ona go kochała.

„*W szczęściu i nieszczęściu.*" Te uroczyste sło-

wa na które prawie nie zwróciła uwagi, gdy je wraz z Frankiem wymawiała przy ołtarzu, teraz brzmiały wyraźnie w jej uszach, zrozumiała je nakoniec!

Dawniej *nieszczęscie* było dla niej wyrazem nie posiadającym rzeczywistego znaczenia. Smutki, doświadczenia, uważała za coś nie istniejącego dla niej, o czem nie warto było myśléć. Nie przyszło jej nigdy na myśl że może nadejść dzień w którym będzie potrzebowała pocieszać męża. Ona, jego ukochana! Ona, która była pewną że przez całe życie będzie stąpać po drodze usłanej różami! I upłynęło zaledwie kilka tygodni, a gmach jej szczęścia rozsypuje się w gruzy; została odsuniętą od domowego ogniska, mąż... męża popchnęła na ławę oskarżonych!

— Masz słuszność, moje dziecię, rzekła matka Franka ze łzami w oczach, żegnając się z Letycyą; radzibyśmy cię tu zatrzymać, ale miejsce żony jest po prawicy męża.

Po tych słowach uścisnęła synowę, a Letycya zadziwiona że znajduje się w tak przyjaznych stosunkach z osobą budzącą w niej dotąd tylko obawę, cieszyła się że może kochać tę którą Frank tak kocha.

Droga wydawałaby się jej nieznośnie długą, gdyby nie energija którą natchnęła ją modliwa. Po przybyciu do Clanmena, nie udała się do domu, nie starała się zobaczyć Franka, czuła że powinna pierwej spełnić co jej nakazywało sumienie, zanim zajmie swe miejsce. Poszła prosto do pałacu i zapytała o baroneta.

Jakaż to różnica między tą chwilą, tak dla niej straszną i stanowczą, a tą w której z sercem przepełnionem pychą, wesoła, tryumfująca, czekała na tym samym progu, zanim służący w liberyi zaprowadził ją do miss Dianny!

Teraz wyszedł do niej tylko *groom*, bez liberyi, a wpuszczając ją do pokoju w którym baronet przyjmował interesantów, zawołał, niezdolny utaić niespodziewanej wiadomości, której dowiedziano się dziś właśnie:

— U nas tu panuje dziś straszny zamęt: Wykradziono miss Diannę!

Więc to już wyszło na jaw?.. Czy też wywołało to jaką zmianę w usposobieniu baroneta? co on powie, co uczyni?

Gdy zadawała sobie w myśli te pytania, lord Hope wszedł do pokoju.

XX.

Zakończenie.

Na twarzy baroneta były jeszcze widoczne ślady gwałtownego wzruszenia.

Są to następstwa ucieczki Dianny, pomyślała Letycya. Z pewnością nikt go żałować nie będzie. Ma na co zasłużył. Dlaczegóż był tak okrutnym ojcem, dlaczegóż chciał wydać córkę za tak wstrętnego kalekę?

— Życzyłaś sobie widzieć się ze mną, mistress Tippington, odezwał się baronet.

— Tak, milordzie, wybąkała Letycya, nie zdolna wymówić ani słowa więcej.

— Jeźli pani przyszła tu aby wstawić się za mężem, uprzedzam że to nadaremnie. *Musi odebrać zasłużoną karę*.

Czy nad te cztery słowa znajdują się jeszcze nielitościwsze w jakimbądź języku?

— Wróć pani do męża, mówił dalej baronet skłoń go, jeźli zdołasz, do szczerego wyznania. Tym jedynie sposobem możesz mu być użyteczną.

— On nie może nic wyznać, bo nic nie wie.

— Tak, tak, to znana wymówka! odpowiedział ironicznie; jednak mogę tylko powtórzyć moją radę.

— Widzę że nie rozumiesz mnie, milordzie! odezwała się Letycya.

Baronet spojrzał na nią z takiem oburzeniem że się przestraszyła.

— Ale rozumiem że skradziono pięćset funtów, i rozumiem także doskonale, że nie puszczę bezkarnie złodzieja!

— A więc mnie zatrzymaj! zawołała Letycya wyciągając ku niemu ręce, bo ja to uczyniłam! Tak, ja!

Baronet cofnął się od niej z wyrazem przerażenia.

— Ty, mistress Tippington! rzekł wpatrując się w jej oczy, ty! To kłamstwo!

Letycya zakryła twarz rękami, usiłując powstrzymać łzy cisnące się gwałtem do jej oczu. Po paru minutach milczenia, baronet odezwał się prawie mimowolnie:

— Więc to twe ręce przywłaszczyły sobie pięćset funtów? Więc mąż pani chcąc cię uchronić od następstw twej winy, przyjął ją na siebie, gotów odcierpiéć karę? Czy zrozumiałem dobrze?

— Nie wiem... Mąż kazał mi wyjechać... Odebrałam list od pana Donolly... i przyjechałam przed chwilą.

— W każdym razie, mistress Tippington, wyznajesz że ukradłaś te pięćset funtów?

— Ja nie ukradłam ich, tylko wzięłam!..

— Najmocniej przepraszam! Nie jestem w stanie ocenić tak subtelnej różnicy. Nie ukradłaś ich tylko wzięłaś! Wybornie! Czy mi wolno zapytać co się stało z mojemi pieniędzmi, skoro je wzięłaś?

— Dałam je.

— Co raz lepiej! Nikt mnie nie okradł, tylko uznała pani za rzecz właściwą przywłaszczyć sobie moje pięćset funtów, i w swej nieocenionej szczodrobliwości, obdarzyć nimi kogoś, komu, jak wnosić wypada, były potrzebniejsze niż mnie?

— A! jakże zdołam się wytłomaczyć! zawołała Letycya załamując ręce. Wkrótce odzyskasz te pieniądze, milordzie! Jutro, może dziś nawet! Sądziłam że to był bilet na *pięćdziesiąt funtów*.

— Pięćdziesiąt! Przedziwnie! mówił z coraz widoczniejszą ironiją baronet. Z pewnością pożyczyła je pani komuś, i zostaną mi zwrócone wraz ze składanym procentem. Była to mała spekulacyjka na moją korzyść. Może pani zechce dać nowy dowód swej dobroci, wymieniając nazwiska mego dłużnika.

— Nie mogę tego powiedziéć. Przyrzekłam że go nie wyjawię.

— Ho! ho! to mi się niepodoba! Jeźli pani sądzi że ci uwierzę, to nie znasz mnie wcale. *Pożyczyłaś* moje pieniądze, *przyrzekłaś* że nie powiesz nikomu, i myślisz że dam się złapać na podobne kłamstwa. Omyliłaś się, moja pani, jeźli nie zechcesz wyznać prawdy, każę cię aresztować, i będziesz miała zaszczyt stanąć przed sądem razem ze swym godnym małżonkiem.

Letycya krzyknęła. Młodziutka jej twarzyczka była tak zachwycająco piękna z wyrazem smutku i przerażenia, zaćmione łzami oczy patrzyły na niego tak błagalnie, że zimny i sorowy baronet uczuł coś podobnego do litości.

— Nie upieraj się pani, rzekł trochę łagodniej, powiedz komu dałaś te pieniądze. Skoro wymienisz jego nazwisko, może pozostawię ci wolność, w przeciwnym razie oddam niezwłocznie w ręce sprawiedliwości.

— Przez litość, nie czyń tego milordzie!.. Cóż na tem skorzystasz? Gdybym miała te pieniądze, byłyby już w tej chwili w twojem ręku. Uważałabym to sobie za największe szczęście gdybym je mogła oddać. Skoro się wszystko wyjawi, będziesz żałował milordzie!.. Możesz odzyskać swe pieniądze... Ja muszę milczéć!.. Przyrzeczenie jest rzeczą świętą... O mało nie złamałam swego chcąc ratować Franka... lecz matka jego utrzymuje że trzeba dotrzymać słowa, choćby nas to miało kosztować najwięcej!

— Jestem nieskończenie wdzięcznym starszej mistress Tippington, rzekł kłaniając się baronet. Ale dość już tego! Czy to mąż przysłał tu panią?

— Mąż! Frank sądzi że jestem na wsi.

— Więc przyszłaś pani z własnege natchnienia? Wzięłaś rzeczywiście ten bankot?

— Miano mi go zwrócić skoro tylko Dick...

— A! Dick. Jest więc jakiś Dick! Rzeczy zaczynają się wyjaśniać! Zapewnie jakiś niepoń braciszek, umiejący marnować pieniądze?

— Nie mam brata, a gdybym go miała nie byłby takim jak się wyraziłeś, milordzie. Zresztą nie wypadałoby mówić w ten sposób temu, kto zamierzał wydać swą córkę za starego hulakę ze sztucznemi nogami!

— Co u licha pomyślał baronet. Czy oboje zwarjowali?

Letycya przestraszona swem zuchwałem wystąpieniem, przygryzła usta.

— Przebacz, milordzie, wybąkała po chwili. Błagam cię o cierpliwość! Odbierzesz swe pieniądze! Frank i ja będziemy ci wdzięczni do ostatniej chwili życia!

Gdy to mówiła, baronet utkwił wzrok w jej twarzy, zaczynał przypuszczać że było coś prawdy w jej słowach, pomimo że wydawały mu się szalone i dziwaczne.

— Posłuchaj pani mej rady, rzekł prawie łagodnie, wyznaj wszystko. Jestto nie tylko twoim obowiązkiem, ale jedynym środkiem uratowania męża. Milcząc potępisz jego i siebie. Gdy staniecie przed sądem wykryje się to wszystko co pragniesz zataić, a jakaż to hańba dla ciebie i twego męża!..

— Więc wyobrażasz sobie, milordzie, zawołała z uniesieniem Letycya, że milczałabym gdyby mi wolno było mówić? Łatwo byłoby mi wymienić to nazwisko, lecz nie chcę złamać przyrzeczenia! Matka Franka...

Baronet zadzwonił.

— Niech i tak będzie. Każę zawołać policyanta.

— Nie, milordzie, nie! Wstrzymaj się na miłość Boską!

Służący przywołany głosem dzwonka, przyniósł list na srebnej tacy; baronet wziął go z niej machinalnie, mówiąc:

— Poślij Toma do biura policyi...

Nie dokończył, spojrzenie jego padło przypadkiem na kopertę, rozdarł ją marszcząc czoło.

— Możesz odejść.

Służący oddalił się natychmiast.

Baronet czytał z pochmurną twarzą, z namarszczonemi brwiami. Po chwili zwrócił się żywo do Letycyi.

— Co to znaczy? zawołał, utkwiwszy w nią oczy.

— Czy?.. czy to od?.. wybąkała drżąca

Powtórzymy tu słowa listu.

„Kochany ojcze. — Gdy ten list dojdzie do ciebie, ja i mój mąż będziemy już w Rzymie, szczęśliwi jak para turkawek, ale weselsi od nich. Zachwycająca to rzecz być wykradzioną! Wartoby to powiedzieć Dosi. Przywiązana córka

Dianna Harrington.

„P. S. Nie zdołam wyrazić mego zadziwienia, gdy się przekonałam, że przez nieuwagę, dałeś, mój ojcze, bilet na pięćset zamiast na pięćdziesiąt funtów, panu Tippington. Przeszedł on w moje ręce za pośrednictwem jego żony, która dała mi ten bilet, nie zwróciwszy także na to uwagi. Obowiązałam się zwrócić pieniądze za parę dni, i zrobiłabym to może, gdyby szło o pięćdziesiąt funtow, ale skoro idzie o pięćset, nie jestem zdolną popełnić takiego szaleństwa. Dziękuję serdecznie za tak piękny podarek, dozwalający Dickowi utrzymywać za granicami kraju honor Zielonego Erynu. Polecił mi abym zapewniła cię, ojcze, o jego synowskiem przywiązaniu, dodając że radby odebrać od ciebie za parę miesięcy, banknot tejże samej jak ten wartości."

Lord Hope zbladł więcej jeszcze po przeczytaniu tego listu, niż w chwili gdy go odebrał.

— A więc oddałaś pani te pieniądze mej córce? zapytał ostro.

Jedynie lodowata surowość jego twarzy powstrzymała Letycyę od objawienia swej radości.

— Wszak miss Dianna zwróciła je, milordzie? szepnęła.

— Zwróciła! Czy sądzisz mistress Tippington, że córka buntująca się przeciwko ojcu, może zachować jasne poczucie obowiązku? rzekł baronet surowo.

Milczał przez chwilę, a potem dodał:

— Muszę jeszcze powiedzieć parę słów dotyczących się pani. Widzisz nad jaką przepaścią postawiło cię to, co wydawało ci się zaledwie małem przewinieniem. Życie twego męża zwichnięte, przyszłość jego zniweczona, jego nazwisko splamione, i serce jego złamane, (serce mężne i szlachetne,) takie to nieszczęścia ściągnęłaś na niego i na siebie!

Letycya zadrżała, i zalała się łzami, jakby te wskazane jej przez baroneta możliwe następstwa jej winy, zamieniły się w rzeczywistość i zniweczyły jej szczęście.

— To jeszcze nie wszystko! dodał Lord Hope podniesionym głosem: Przywłaszczyć sobie pięćset funtów byłoby według ciebie zbrodnią, ale uważasz się za niewinną, ponieważ wykradłaś je dla kogoś innego! Powiem ci więc, że nie jeden ze skazanych na kilka lat więzienia jest bez porównania mniej winnym od ciebie, mistress Tippington, która pomagałaś córce oszukiwać ojca, i przyczyniłaś się do jej ucieczki z niecnym szubrawcem! Unikasz kary, ale nie przestajesz być winną... Niech cię osądzi własne twoje sumienie.

Baronet otworzył drzwi. Letycya wyszła z pokoju z rumieńcem wstydu na twarzy.

Letycya pozbawiona gruntownych zasad moralności, nie zawsze umiała odróżnić co było złem a co dobrem. Wyobrażała też sobie, że skoro się wykryje w jakim celu wzięła pieniądze, wyjdzie bielsza od śniegu z tej sprawy, w którą wplątała ją *dobroć jej serca.*

Lord Hope otworzył jej oczy. Przejrzała, i niewysłowione uczucie wstydu napełniło jej duszę.

Na to nagłe przeistoczenie jej usposobienia złożyło się wiele okoliczności: ciągła styczność z Frankiem, dającym jej przykład sumiennego spełniania swych obowiązków, przebyte niebezpieczeństwo, szlachetność męża którego szczerze kochała, a nadewszystko jej miłość dla niego. Ale trzeba było tak ciężkiej ręki jak baroneta, aby wypleniła chwasty zagłuszające piękne i użyteczne rośliny.

Ta Letycya która teraz rzuciła się z namiętnem uniesieniem na szyję Franka, nie była już podobną do tej którą usunął z domu trzy dni temu.

— Kocham cię, ah! kocham! mówiła tuląc się do męża.

Frank w pierwszej chwili przycisnął żonę do piersi, lecz później odepchnął ją od siebie jakby nagle przyszły mu na myśl wszystkie jej winy.

— Mnie kochasz? rzekł. A tamten?

— Kto taki?

— Ten... co przed naszym ślubem?..

— Nie rozumiem. O kim mówisz?

Na jej twarzy jeszcze zwilżonej łzami, malowało się tak głębokie zadziwienie, i tyle niewinności, a oczy patrzyły na niego z wyrazem tak głębokiego uczucia, że Frank zawstydził się swoich podejrzeń.

— Wróciłaś już ze wsi, odezwał się po chwili, chcąc zmienić przedmiot rozmowy.

— Tak. Wszystko już będzie dobrze! Wszystko! tylko przebacz mi! To miss Dianna wymogła na mnie przyrzeczenie!.. To ona wzięła odemnie pieniądze, aby mogła uciec z Dickiem, wyzwolić się od tego obrzydliwego starca z drewnianemi nogami! Baronet już wie o tem. Mistress Harrington (dawniejsza miss Dianna) doniosła mu już o wszystkiem. Wyłajał mnie straszliwie, i jestem tak szczęśliwa, tak szczęśliwa!..

Frank tyle tylko zrozumiał z jej słów, że tajemnica została odkrytą; niebezpieczeństwo minęło. Letycya jest niewinną, a honor jego ocalony.

Wzruszenie, jakkolwiek radosne, przechodziło jego siły. Twarz na chwilę wyjaśniona pokryła się znów śmiertelną bladością, wybąkał kilka słów bez związku, zachwiał się i byłby upadł, gdyby go Letycya nie powstrzymała i nie poprowadziła do sofki.

Na pół przytomny przyciskając do siebie żonę, tak silnie jakby obawiał się utracić ją znowu, wsparł czoło na jej ramieniu i łzy popłynęły mu z oczu.

— Nie, nie, dosyć już łez! zawoła Letycya, minęły wszelkie udręczenia!

Frank zapanował nad sobą i podniósł głowę. Nastąpiły wyjaśnienia.

Pewny już teraz że jest jedynym przedmiotem uczuć Letycyi, tak upojony był swem szczęściem, że o mało nie osądził zbyt pobłażliwie ciężkiej winy swej żony; ale u człowieka z takim charakterem jak Frank, sumienie prędko odzyskuje swe prawa, w krótce też przedstawił Letycyi całą ważność jej przewinienia.

Podstęp, kłamstwo, spólnictwo w wybrykach szalonej dziewczyny, naruszenie cudzej własności, zostało przedstawione naszej bohaterce w właściwem świetle. Gdy zmieszana, chciała się tłomaczyć tem czem dotąd uspakajała swe własne sumienie, i zaczęła mówić o starym i schorowanym kalece, za którego baronet chciał koniecznie wydać córkę, przekonała się że ta wymówka na którą tyle rachowała, nie ma najmniejszej wartości.

— Kto! zawołał Frank, sir Edward! Wszak on nie ma czterdziestu lat, jest prawdziwym gentlemanem, ma swoje własne i zdrowe nogi, a miss Dianna chętnie przyjmowała jego hołdy!

Jeźli ktoś sądzi że Frank i Letycya nie spotkali odtąd na swej drodze cierni, wybojów i kamieni, w takim razie myli się bardzo.

Baronet, zawzięty z natury, przestał kupować u młodego księgarza, co jest zawsze szkodliwe, a może stać się nawet zgubnem, jeźli klient zejmuje wysokie stanowiska. Ucierpiał na tem kredyt Franka, co znów oddziaływało niepomyślnie na jego interesa. Często rozdrażniony, niekiedy zniechęcony, nie zawsze umiał zapomnieć że pierwszą przyczyną jego niepowodzenia była Letycya. Co do niej, znosiła wszystko pokornie, czując że na to zasłużyła. Jednak pomimo żalu za swe przewinienia, nie zdołała uleczyć się od razu z lekkomyślności, przesady i nierozwagi. Często jeszcze napadały ją kaprysy, lub grzeszyła niedbałością albo lenistwem, lecz jeźli w drobnych utarczkach z dawnemi wadami była zwycięzoną, to tryumfowała nad nimi w stanowczych bitwach, gdyż poznała lepiej Tego który dodaje siły do przezwyciężenia złych skłonności, i coraz częściej wzywała Jego pomocy.

Czy wyda się to komu dziwnem jeźli dodamy, że bardzo zbawienną choć nader przykrą i upokarzającą naukę odebrała od *arcy dystyngowanej* mistress Harrington..

Dianna, bardzo nieszczęśliwa w pożyciu z mężem, żałująca gorzko że zawarła związek który zamienił się w prawdziwe piekło, nie wahała się zrzucić na Letycyę całej odpowiedzialności, i uważać ją za sprawczynię swego nieszczęścia. Wszakże to Letycya pomagając jej dla zadowolnienia swej próżności, ściągnęła na nią te wszystkie cierpienia?

Clanmena postarzało się o lat dziesięć. Księgarnia pomimo wszelkich przeciwności rozwija się szczęśliwie.

Przejdźmy kilka schodów i uchylmy drzwi. Zobaczymy siedzącą w skromnym saloniku, młodą kobietę z ładną i świeżą twarzą. Pracuje gorliwie pochylona nad skarpetką, ubiór jej gustowny choć skromny, oczy błyszczą wyrazem szczęścia i zadowolnienia. Przy niej siedzi piękny mężczyzna z szlachetnym wyrazem twarzy, i obejmuje ręką wiotką kibić żony. Czy wiecie z czego roześmiała się tak serdecznie?

Frank pochwycił z jej rąk skarpetkę wraz z igłą, rozciągnął ją na stoliku i zawołał z poważną miną: *Jakże to dystyngowane!* Niech żyje *dobry ton!*

Letycya klaszcząc w ręce pocałowała go w czoło.

KONIEC.

Opis do Nr. 47.

(Dokończenie.)

N. 30. Kapelusz okrągły „chasseur".

Nazwę swoją zawdzięcza fasonowi bardzo podobnemu do miękkich, filcowych męzkich kapeluszy. Przybranie stanowią dwa czarne skrzydełka i rozeta z żółtej aksamitki 2 i pół c. szerokiej.



N. 1. Upięcie z piór marabout do kapelusza.



N. 3. Teka safianowa z deseniem zdzieranym. Patrz ryc. 30 w N-rze 46 i fig. 90 na arkuszu.



N. 2. Bukiecik kwiatów aksamitnych do kapelusza.

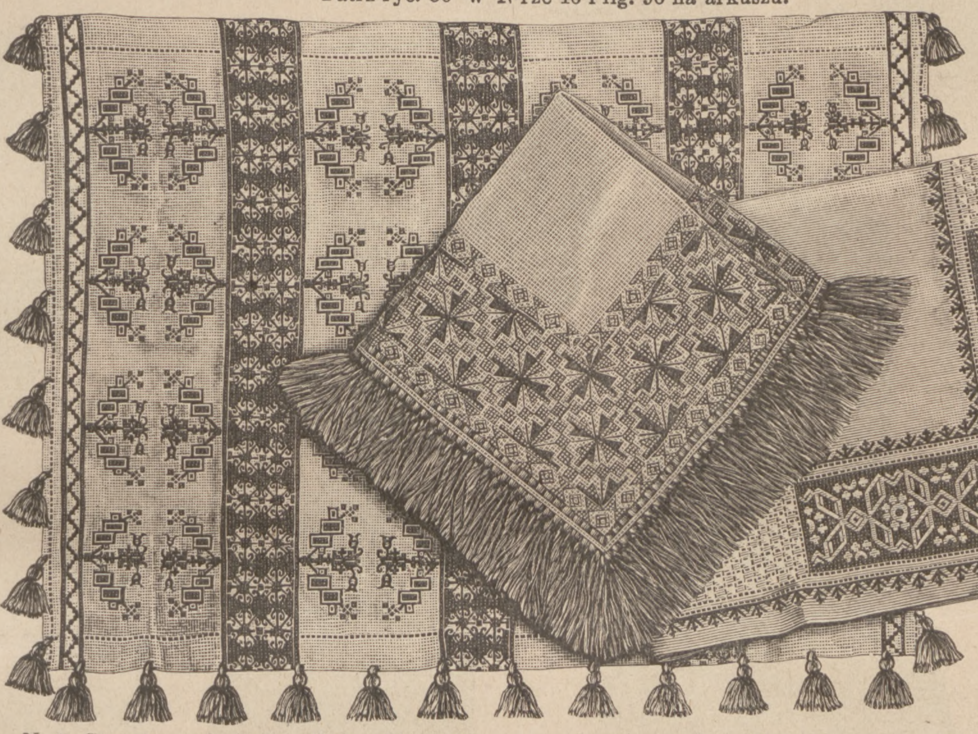
N. 39—40. Ubranie spacerowe z paletocikowem stanikiem.

Stanik dopasować można podług kroju do ryc. 13, zmiana w kroju przodów u dołu zaokrąglonych i otwartych do kamizelki, u dołu 20 c. szerokiej da się z łatwością dopasować na figurze. Baskina przy pleckach tylko 20 cent. długa dopełniona jest oddzielnym fałdowanym kawałkiem 27 cent. długim.



N. 4. Suknia z vêtement dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 36 w N-rze 46. Krój na arkuszu N. VII, fig. 29—32.

Kołnierzyk, obłożenie rękawów i klapy przy kieszeniach odpowiednio do pory dane z krymskich baranków. Spódnica plisowana drobno w całej długości; z tyłu spuszczony bryt 130 cent. szeroki, 87 c. długi, ułożony w szersze fałdy, przestębnowany kilkakrotnie u dołu; z przodu krótkie fałdowanie poprzeczne.



N. 7. Serweta na komodę. Haft ściegiem plecionym patrz. r. 16 w N-rze 46.

N. 8. Serweta z haftem serbskim. Patrz ryc. 12.

N. 9. Serweta na stół. Kratka ażurowa i ścieg krzyżykowy. Patrz ryc. 10—11 i figura 42.

N. 48 i 31. Pelerynka futrzana.

Takie pelerynki stanowią bardzo używane obecnie dopełnienie jesiennego spacerowego ubrania i zapinają się na baryłeczki szmuklerskie i pentlice sznurowe w miejsce modnych poprzednio metalowych agrafek z łańcuszkami. Do długich okryć i paletotów nie obłożonych futrem dają mniejsze kołnierze futrzane podług r. 6. Przy kołnierzu lub pelerynce konieczna jest mała zgrabniutka mufka zdobna atłasem, aksamitem, pluszem, kokardami lub frendzlą. Praktycznie jest urządzić ją z kieszonką, jak przedstawia ryc. 31.



N. 6. Kołnierzyk futrzany.



N. 5. Havelock dla chłopca lat 8—10. Patrz ryc. 37 w N-rze 40. Krój i opis na arkuszu N. VIII, figury 33—36.

N. 49. Szlak zdobny aplikacyą. Deseń na arkuszu fig. 40.

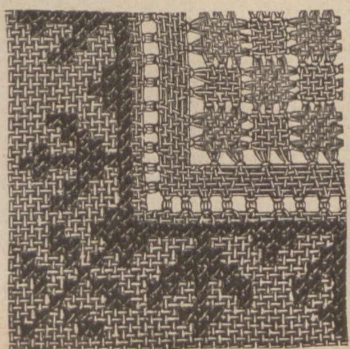
Odznacza się pięknym deseniem i dobraniem materyału i daje zastosować się do różnego celu; odrobiony z ciężkiej materyi stanowić może środek do ornatów, ze lżejszej służyć będzie do portjer, na meble lub t. p. Deseń ryc. 49 przedłuża się podług fig. 40 na arkuszu z krojami, przykładając gwiazdkę do gwiazdki. Szlak, który opisujemy, był aplikowany ze złotej brokatelli na tle aksamitnem bordeaux. Kontury i gałązki wyszyte złotym sznureczkiem, żyłki zaś odznaczone żółtym jedwabiem.



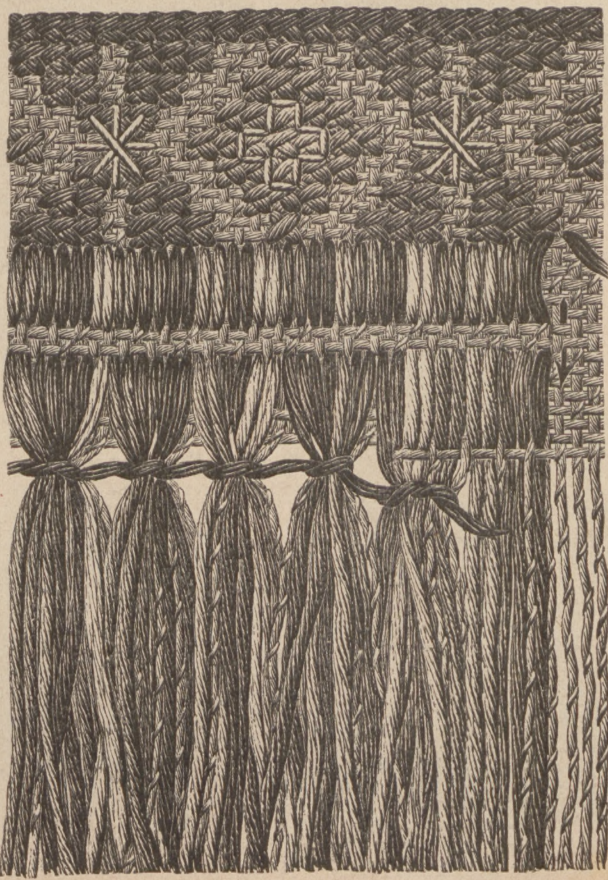
N. 13. Krótki paletocik. Krój na arkuszu N, III, fig. 13—16a.



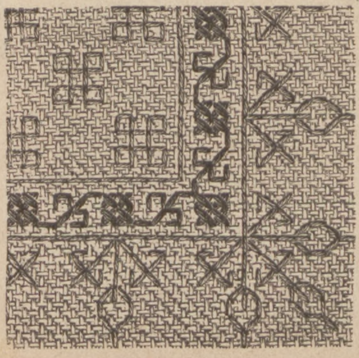
N. 14. Dolman obłożony futrem. Patrz ryc. 45. Krój i opis na arkuszu N. II, fig. 9—12a.



N. 10. Kratka ażurowa i szlaczek do ryc. 9.



N. 12. Frendzla i szlaczek do ryc. 8.



N. 11. Wyszycie odpowiednie do ryc. 9.



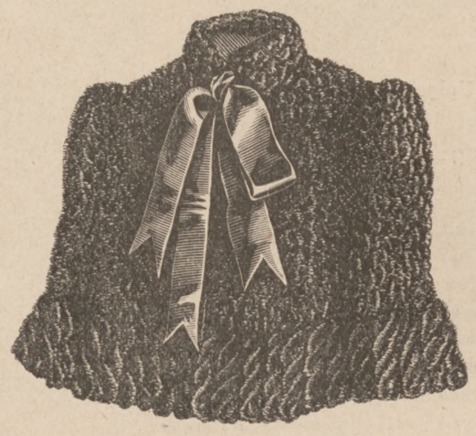
N. 15. Kapotka „Charlotte Corday" Krój na arkuszu N. X, fig. 39.



N. 22. Paletot dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 23.



N. 19. Rękawiczka podszyta u dołu futrem.



N. 24. Pelerynka sznelowa robotą w ramach. Patrz ryc. 28—29 w N-rze 46.

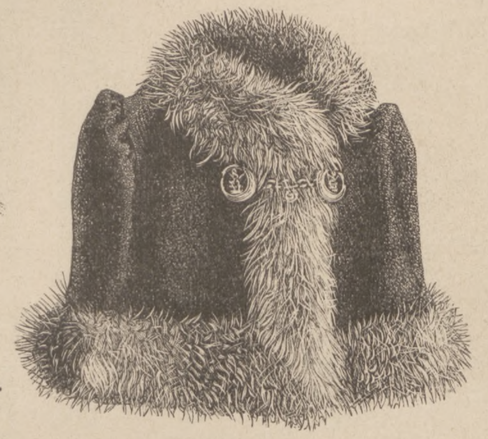


N. 17. Kapotka dla dziecka. Patrz ryc. 43. Krój i opis na arkuszu N. XVIII, fig. 81—85.

N. 18. Kapotka z marszczoną główką. Patrz ryc. 44. Krój i opis na arkuszu N. XIX, fig. 86—87.



N. 20—21. Rękawiczki zimowe.



N. 25. Pelerynka pluszowa.



N. 23. Paletot dla panienki lat 10—12. Krój i opis na arkuszu N. XIV, fig. 64—67.



N. 16. Kapotka hiszpańska. Patrz ryc. 31 w N-rze 46. Krój na arkuszu N. IX, fig. 37—38.



N. 32. Paletocik dla dziecka lat 2—4. Patrz ryc. 35. Krój na arkuszu N. X fig. 39.

N. 33. Paletocik z pelerynka dla dziewczynki lat 4—6 Krój i opis na arkuszu N. XVI, fig. 73—77.



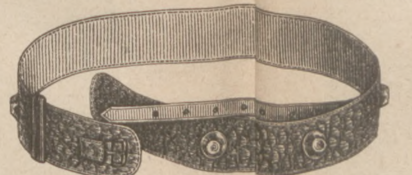
N. 36. Okrycie z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 37. Krój i opis na arkuszu z krojami N. XII, fig. 53—56a.



N. 29. Kapelusz dla młodej panienki.



N. 27. Żabot.



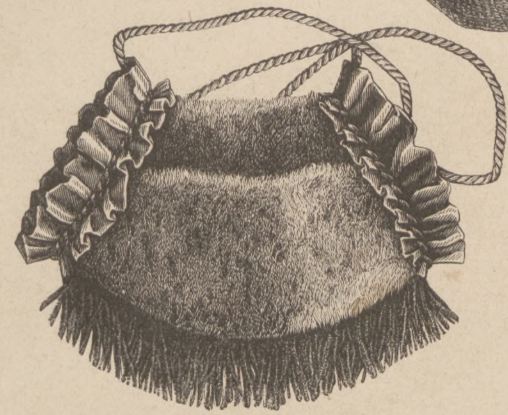
N. 26. Pasek pokryty skórą z węża.



N. 30. Kapelusz okrągły „chasseur".



N. 28. Krawatka do zawiązania na okryciu.



N. 31. Mufka z kieszonką.



N. 34. Paletocik z pelerynką dla dziewczynki lat 4—6. Patrz r. 33.

N. 35. Paletocik dla dziecka lat 2—4. Patrz ryc. 32.



N. 38. Ubranie spacerowe z pelerynką. Krój, opis i przód na arkuszu N. XI, fig. 44—52.



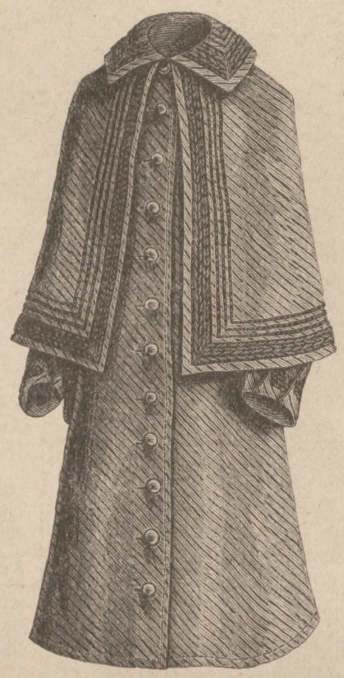
N. 37. Płaszczyk z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 36.



N. 39. Ubranie spacerowe. Patrz r. 40.



N. 40. Ubranie spacerowe [illegible]



N. 41. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 8—10. Patrz r. 42. Krój i opis na arkuszu N. XV, fig. 68—72.



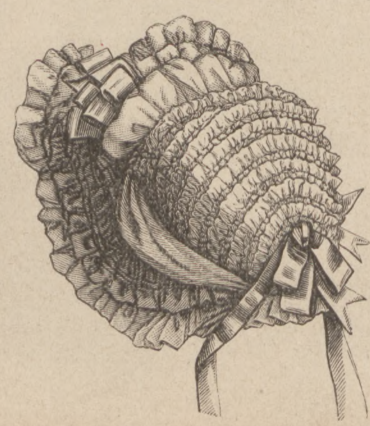
N. 43. Kapotka dla dziecka. Patrz ryc. 17.



N. 45. Dolman obłożony futrem. Patrz ryc. 14.

N. 46. Paletot skośnie zapięty. Patrz ryc. 3 w N-rze 46. Krój i opis na arkuszu N. IV, fig. 17—18.

N. 47. Okrycie z szalowemi końcami. Patrz ryc. 4 w N-rze 46. Krój i opis na arkuszu N. V, fig. 19—23.



N. 44. Kapotka marszczona. Patrz ryc. 18.



N. 42. Płaszczyk dla dziewczynki lat 8—10. Patrz r. 41.



